Nr. 7. Warszawa, dnia 17 (5) Lutego 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NIESPODZIEWANE ZACHCIANKI.

Gospodarstwo społeczne nie jest wcale matematyką i jeżeli nawet w swych obliczeniach usiłuje jak najbardziej zbliżyć się do ścisłości, nie może wyjść po za granicę mniej lub więcej prawdopodobnych przypuszczeń. Mimo że orędownicy wysokich ceł i systemu protekcyjnego w rozmaitych państwach europejskich zaręczają nam, że ten środek zapewni temu lub owemu narodowi nieobliczone korzyści, w najlepszym razie są to różowe nadzieje, a nie jakieś niewątpliwe pewniki. Z ostatnich doświadczeń wynika raczej wniosek przeciwny. Gwałtowny zwrot, jaki przed paru laty uczyniły Stany Zjednoczone ku protekcyonizmowi, był pouczającym przykładem dla wszystkich, którzy go naśladować nie powinni. Zdawało się, że Francya zapamiętała sobie tę przestrogę; tymczasem nagle weszła ona na tę drogę i to z celem najmniej spodziewanym. Można było bowiem oczekiwać, że ona zechce wznieść mur lub murek celny od strony niesympatycznych dla niej sąsiadów; ażeby jednak myślała powstrzymać przywóz zboża ruskiego, tego nikt nie przewidywał. To też *Warszawskij Dniewnik* wyraził uzasadnione zdziwienie. „Po zsumowaniu polityczno - ekonomicznych stosunków — pisze on — okazuje się, że Francya otrzymała od nas wszystko, co mogliśmy jej dać bez uszczerbku dla naszego własnego przemysłu, podczas gdy ona dała nam bardzo mało (zniżenie cła od nafty, które przyznano również amerykańskiej), a i to zaraz cofnęła drugą ręką, teraz zaś ma wyraźnie wrogie zamiary przeciw naszemu handlowi zbożowemu, naruszając bez żadnej ceremonii zasadę wzajemności, na której opierać się winny polityczno-ekonomiczne stosunki narodów. Francya — kończy *Dniewnik* — jest krajem przeważnie przemysłowym, Rosya przeważnie rolniczem, a ta różnica jest podstawą najzupełniejszej *entente cordiale* w dziedzinie ekonomicznej, która powinna być dopełnieniem politycznej. Jeżeli protekcyoniści francuscy tego nie rozumieją, tem gorzej dla nich, a jeżeli oni uważają za potrzebne naruszać nasz handel zbożowy, to niech się przygotują na to, że Rosya może im odpowiedzieć podobnemi represaliami w zakresie przemysłu francuskiego. *Do ut des.*“

Kwestya postawiona jasno.

A jak ona przedstawia się we Francyi? Nowe wybory wprowadziły do Izby większość protekcyonistowską. Komisya celna, której przewodniczy fanatyczny wyznawca systemu ochronnego, Meline, rozpoczęła swoje obrady od zaprojektowania podwyżki opłat granicznych od przywożonego zboża o 5 do 8 fr. za kwintał. Ten projekt wniesiony został obecnie do parlamentu. Rząd, chcąc dogodzić stronnictwu rolnemu (agrariuszom), a jednocześnie złagodzić zbyt wygórowane ich roszczenia, wniósł ze swej strony podwyżkę o 7 fr., czyli o 1 fr. mniej, co jest wspaniałomyślnością zbyt drobną. Jaki będzie wynik świeżo rozpoczętych rozpraw w Izbie — nie wiadomo. „Rząd francuski — powiada *Warsz. Dniewnik* — uniesiony silnym prądem protekcyjnym, znalazł się w konieczności zadania zaprzyjaźnionemu mocarstwu ciosu ekonomicznego, ażeby odbić inny, silniejszy. Jest to tem ważniejsze, że w chwili, gdy rząd niemiecki po długiej walce widzi się zmuszonym otworzyć granice państwa ruskiemu handlowi zbożowemu i zapewnić mu te przywileje, z których korzystają sprzymierzeńcy Niemiec, Francya wstępuje na drogę, którą te ostatnie porzuciły i bez żadnej widocznej przyczyny zamierza nasz handel ugodzić cłami wojowniczemi.“

Czy zacietrzewieni protekcyoniści francuscy zważą te napomnienia, które do nich wystosowane zostały również z innych dzienników ruskich? Wkrótce zobaczymy. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że Francya puszcza się na awanturę, uwiedziona krzykami jednej warstwy, ślepej na wszystko, co nie leży w obrębie jej interesów. Dziś w Europie toczy się zajadlejsza może, niż kiedykolwiek walka samolubstw klasowych, która, zwłaszcza w państwach konstytucyjnych, uwidocznia się bardzo wyraźnie. Piekarze chcieliby stanowić prawa, obdzierające wszystkich ze skóry na ich korzyść, tegoż samego żądają fabrykanci maszyn i płótna, właściciele winnic, rolnicy itd. Nikt nie godzi się na podział środków do życia z innymi, lecz każdy radby je zagarnąć wyłącznie dla siebie. Ta polityka egoizmu gromad społecznych nie może nigdy obdarzyć narodu dobrodziejstwami i zawsze go sprowadzi na manowce. Nie wątpią o tem sami jej obrońcy i nie marzą o trwałem zabezpieczeniu swych interesów, starają się tylko wyzyskać czas, okoliczności i chwilową przewagę, dopóki można. Francya za dużo potrzebuje świata dla swych rozmaitych *articles* i swego przemysłu, ażeby on pozwolił jej zamykać granice i nie odpłacił pięknem za nadobne. Tę samą szrubę celną, co ona, posiadają również inne państwa, które ją potrafią zakręcić. Przywóz zboża zagranicznego daleko bardziej dotyka rolników niemieckich, niż francuskich, a jednakże oni zaczynają już godzić się z twardą koniecznością i czynią ofiarę ze

swoich korzyści dla dobra państwa. O ileż jaskrawiej i bezwstydniej obnaża się samolubstwo agraryuszów francuskich!

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak gdyby bezmyślność zamachów anarchistycznych była jeszcze wątpliwą, a ich wielokrotna niegodziwość niedowiedzioną, jeden z rycerzy tej krwawej chorągwi dał nowe przedstawienie morderczego obłędu. Młody człowiek, który dotąd nazwiska swego nie wyjawił, wszedłszy do kawiarni hotelu „Turnus" w Paryżu, rzucił bombę, która ciężko zraniła 20 kilka osób. Uciekając zabił strzałami rewolwerowymi przechodzącego robotnika i policyanta. Ujęto go i naturalnie zapytano, czego chciał dokonać. Odpowiedź na to pytanie będzie dlań chyba trudniejszą, niż rzucenie bomby. Bo jak to wytłomaczyć podobny czyn bez pomocy argumentów waryackich? Cóż temu człowiekowi zawiniły osoby, które zranił lub zabił?

Pomiędzy sądzonymi w Pradze członkami „Omladiny" (proces o zabójstwo Merwy) a prezydującym trybunału wynikły tak ostre starcia, że aż musiano używać gwałtu. To nie chcieli oni wychodzić z sali, to opierali się wprowadzeniu do niej, to lżyli sąd. Ostatecznie ich obrońcy przyjęli także udział w tym oporze, tak że prokurator bez nich wypowiedział swą mowę oskarżającą.

W Barcelonie odkryto związek anarchiczny, który nosił nazwę „Gueridos escamidos" a używał hasła „Salud." W czterech pracowniach przygotowywano bomby. Pomimo tego odkrycia, Hiszpania nie jest pewną, czy wyłowiła wszystkie nici spisku.

Telegramy z Chicago malują tamtejsze położenie w barwach coraz posępniejszych. Ulice zalega 175,000 ludzi różnych warstw bez zajęcia. Zbrodnie mnożą się w przerażającym postępie. Władze wypędzają gromadami proletaryat, niemający środków do życia. Ten środek kwestyi nie rozwiąże. Yankesi pomyśleli o wszystkiem, co tylko było potrzebnem do urządzenia wystawy, zapomnieli tylko o tem, że ściągnąwszy tłumy dla robót około niej, będą musieli potem znaleść jakiś odpływ temu olbrzymiemu ściekowi ludzi. Dziś sądzą, że się z nim załatwią jak ze śmieciami za pomocą miotły.

Projekt traktatu handlowego między Rosyą a Niemcami został już ogłoszony w pismach, a w tej chwili może już wyszedł z Rady związkowej i znajduje się w sejmie. Według wyraźnego zastrzeżenia, ma on być wprowadzony 20 marca lub — jeśli to będzie możliwem wcześniej. Chęci do przewlekania sprawy żadne stronnictwo w sejmie nie ma, gdyż targi są z niej prawie wykluczone, więc przed 20 marca umowa albo będzie przyjęta albo odrzucona. Zdaje się, że opozycya będzie złamana. Gdyby zwyciężyła, pomiędzy parlamentem a rządem pozostałby może najpoważniejszy zatarg od czasu ich istnienia w Niemczech.

Młody król serbski w osobnej mowie wyjaśnił pobudki, które go skłoniły do rozbratu z radykałami. Jak utrzymuje, musiał ratować kraj od rządów jednostronnych, a tron od niebezpiecznych podważań. Sens jego mowy zawierał się w oświadczeniu: nie chcę być królem żadnej partyi, lecz narodu.

Pomimo zapewnień, że Sycylia jest już uspokojoną, gen. Morra, wysłany tam z obszernem pełnomocnictwem, ma jeszcze dużo do roboty. Ciągle wykrywa podminowania spiskowe, zawiesza wydawnictwa itp. Tymczasem Crispi pracuje w tajemnicy nad jakąś myślą zmian wewnętrznych, która ma zagoić rany i zapobiedz ponawianiu się takich wybuchów choroby.

Zamieszki w uniwersytecie brukselskim, w których ważną rolę odegrał słynny geograf, E. Reclus, uspokoiły się. Wydalonych studentów przyjęto i wykłady wznowiono.

Jeszcze raz telegraf doniósł o sprzysiężeniu na życie naczelnika rządu brazylijskiego, gen. Peixoto. Tyle już tych doniesień było, że można je puszczać mimo uwagi.

BADANIA NAUKOWE.

SZTUKA LEKARSKA U LUDÓW PIERWOTNYCH. *)

Nader doniosła i zasadnicza przemiana zaszła w metodzie badań historycznych w ostatniem pięćdziesięcioleciu. Przekonano się, że pisma i przekazywane nam słowa nie są bynajmniej rzeczywistem i jedynem źródłem dla nauki o dziejach, lecz że musimy zwracać się także do zupełnie innych źródeł o tyle przewyższających pierwsze, iż są zawsze wolne od umyślnych i tendencyjnych skażeń. Wiemy, iż człowiek nie odrazu i nie bezpośrednio stanął na tym stopniu kultury i ustroju społecznego, od którego datuje się „historya", lecz że przeciwnie, w ciągu tysięcy lat, poprzedzających „pisane" dzieje ludzkości, ta ostatnia miała swoją „historyę", swoje prawa, instytucye religijne, sztuki i nauki, których poznanie stanowi konieczny warunek należytego pojmowania zdarzeń późniejszych.

Badania w pomienionym kierunku tak się rozwinęły w ostatnich latach, że dały początek nowej zupełnie umiejętności, t. z. „dziejom pierwotnym" (Urgeschichte). Jej materyał źródłowy jest czworaki.

Po pierwsze są to przypadkowe odkrycia starożytnicze lub też będące rezultatem specyalnych poszukiwań; materyał przez nie dostarczany składa się na t. z. archeologię przeddziejową.

Powtóre nie małe znaczenie mają pewne zwyczaje, obyczaje i poglądy dzisiejszych, niższych warstw ludności, zwłaszcza wiejskiej; zabytki te uważać możemy niejako za „szczątkowe" pozostałości czasów dawno minionych.

Za trzeci czynnik uważać należy badanie sposobu życia teraźniejszych „ludów natury", które przedstawiają dziś jeszcze różnorodne stopnie kultury — stany, w których niegdyś pozostawały narody ucywili-

*) Dr. M. Bartels. *Die Medicin der Naturvölker.* Ethnologische Beiträge itd. Lipsk. 1893, ze 175 drzeworytami w tekście.

---

1)

Gerhart Hauptmann.

Dróżnik Thiel.

I.

Co niedziela dróżnik Thiel siadywał w kościele neu-zittawskim, z wyjątkiem dni, kiedy miał służbę lub gdy chorym będąc, leżał w łóżku. W przeciągu lat dziesięciu chorym był dwa razy: raz — wskutek spadłego w przejeździe z tenderu węgla, który, ugodziwszy weń, rzucił go z potrzaskaną nogą w rów; drugi raz — wskutek butelki z winem, która z sunącego w szalonym pędzie pociągu pośpiesznego zleciała mu wprost na piersi. Prócz tych dwóch wypadków, nic nie było w stanie powściągnąć go od kościoła, skoro tylko był wolny.

Przez pierwsze pięć lat drogę z Schön-Schorstein, kolonii nad Spreą, do Neu-Zittau sam musiał odbywać. Pewnego pięknego dnia ukazał się jednak w towarzystwie wątłej, chorowicie wyglądającej kobiety, która, jak mówili ludzie, nie nadawała się bynajmniej do herkulesowej jego postaci. I znowu w popołudnie pewnej pięknej niedzieli tejże osobie uroczyście podał rękę przed ołtarzem. Przez dwa lata tedy młoda, delikatna kobieta siadywała obok niego na ławce kościelnej; przez dwa lata zapadłe jej wązkie oblicze pochylało się obok czerstwej jego twarzy nad prastarym psałterzem. Nagle dróżnik siadł znowu sam, jak dawniej.

W ubiegłym tygodniu rozległ się był któregoś dnia głos dzwonów pogrzebowych — oto i wszystko.

Ludzie zapewniali, że w osobie dróżnika niepodobna było dostrzedz jakiejkolwiekbądź zmiany. Guziki schludnego munduru odświętnego tak błyszczały czystością, jak i dawniej, rude jego włosy tak starannie były wypomadowane i po żołniersku przedzielone, jak zawsze; tylko szeroki, włosem porosły kark pochylił on nieco niżej i z większym, aniżeli dawniej, zapałem słuchał kazania i śpiewał. Ogólnie mniemano, że śmierć żony nie bardzo go dotknęła, a w mniemaniu tem utwierdzono się, gdy po upływie roku Thiel ożenił się powtórnie, tym razem z kobietą tęgą, rosłą, z dziewką od krów, rodem z Alte-Grund.

Nawet pastor pozwolił sobie na kilka uwag w chwili, kiedy Thiel przyszedł mu oznajmić wiadomość o przyszłym ślubie swoim.

— Więc już znowu chcecie się żenić?

— Z nieboszczką gospodarować nie mogę, panie pastorze!

— No tak, ale chyba śpieszycie się zanadto.

— Chłopak mi niszczeje, panie pastorze!

Żona Thiela umarła podczas połogu, chłopiec zaś, którego na świat wydała, żył i otrzymał imię Tobiasz.

— Prawda, chłopak — odparł pastor, czyniąc ruch, który dowodził wyraźnie, że teraz dopiero przypomina sobie malca. — To co innego — a gdzieżeście go umieścili na czas służby waszej?

Thiel zaczął opowiadać, jak oddał Tobiasza pewnej starej kobiecie, która raz o mało co nie dała mu się spalić, drugi raz znowu z kolan na ziemię go upuściła, z czego na szczęście dziecko tylko guz wyniosło. Tak dalej być nie może — mówił— ponieważ chłopiec jest słabowity i szczególnej potrzebuje pieczy. Z tej to przyczyny a i dlatego, że nieboszczce podaniem dłoni ślubował, iż o dobro dziecka zawsze dostateczne mieć będzie staranie, na krok ten się zdecydował.

Nowej parze, która znowu co niedziela do kościoła przychodziła, pod względem zewnętrznym ludzie nic zgoła zarzucić nie mogli. Dawniejsza dziewka od krów zdawała się jakby stworzoną dla dróżnika. Zaledwie o pół głowy od niego niższa, była jednak pełniejsza, rysy miała, również jak i on, grube, tylko że od jego różniły się bezdusznością.

zowane, zanim osiągnęły wyższy poziom swego rozwoju. Dostarczenie niezbędnych w tym względzie materyałów jest rzeczą etnologii.

Wreszcie czwarte źródło, z którego musimy czerpać, przedstawia lingwistyka porównawcza. Z postaci liter i z określonego sposobu tworzenia wyrazów może ona częstokroć wyprowadzać ważne wnioski, dotyczące dawnych stosunków kultury.

Z wymienionych źródeł korzystać musi każda dziedzina badań przedhistorycznych, jeśli pragnie się oprzeć na szerszych i pewniejszych podstawach.

Nowy, nader cenny i interesujący przyczynek do tego rodzaju badań przedstawia świeżo wydane dzieło d-ra M. Bartelsa o sztuce leczenia u ludów pierwotnych. Znajdujemy tam bardzo ważne i ciekawe materyały do dziejów kultury ludzkości.

Przedewszystkiem u różnych plemion pierwotnych spotykamy rozmaite poglądy na przyczyny chorób. I tak, u bardzo wielu ludów istnieje pojęcie, jakoby zły duch powodował zawsze choroby. Syngalezi np. mają cały szereg demonów, z których każdy wywoływać umie pewnego rodzaju słabość. „Gulmasannija" jest szatanem choroby, przy której lęgną się robaki, „Watasamia" dyabłem reumatyzmu, „Nagsaunija" szatanem silnych bólów. Lekarze syngalezów, t. z. „tancznicy szatanów" budują sobie małe chaty, w których robią liczne nisze, a w każdej z nich wieszają maskę wyobrażającą jednego rodzaju szatana. Przed maską lekarz wznosi mały ołtarz i tu składa ofiarę odpowiedniemu demonowi w obecności chorego. Następnie stawia maskę przed obliczem pacyenta i tańczy dopóty dokoła niego, aż tenże straci świadomość i prawdopodobnie zahypnotyzowany, pada na ziemię. Wówczas zanoszą chorego do domu, gdzie powinien się on zbudzić ze snu zupełnie zdrów.

Inne ludy uważają za przyczynę chorób duchy nieboszczyków. W pojęciu greków zmarłe dziewczęta zadawały śmierć dzieciom; w Indyach rozpowszechnione jest pojęcie, iż duchy dziewcząt, zmarłych w stanie narzeczeństwa, powodują choroby umysłowe. Bardzo często spotykamy się z wierzeniem, jakoby duchy kobiet, zmarłych w połogu, były przyczyną niebezpiecznych cierpień u żyjących.

W jeszcze innych wypadkach choroba uważana jest za zwierzę, napadające ciało ludzkie; zwierzę to bywa też niekiedy poczytywane za wcielenie złego ducha. Wierzenia takie znajdujemy np. u indyan Dakota. Są to nietylko zwierzęta drobne, robaki, owady i t. p., ale także większe: płazy, gady, ptaki, a nawet i ssące. W Syamie rozpowszechnione jest mniemanie, że gdy lekarzowi udaje się wypędzić z ciała pacyenta t. z. Phi Xin (demona choroby) to widać, jak tenże ulatuje z ciała pod postacią czarnego ptaka, podobnego do żórawia.

Duch ludzki jest nieskończenie pomysłowy, gdy chodzi o sprawienie przykrości bliźniemu; dla tego też znajdujemy najbardziej złożone środki, za pomocą których znienawidzony przeciwnik ma być dotknięty chorobą lub zabity. Istnieją przeto w wierzeniach ludów najrozmaitsze sposoby „oczarowania", wywołujące choroby lub śmierć.

Nietylko u ludów dzikich, ale i u niższych warstw narodów ucywilizowanych rozpowszechnione są często mniemania o umyślnem zatruwaniu wód w rzekach i studniach dla sprowadzenia epidemii. Mieszkańcy wyspy Celebes przypisują większość chorób tej okoliczności, iż źli ludzie dodają różne trujące ingrendyencye do pokarmu tym, którym chcą zaszkodzić. Na wyspie Serang oraz na wyspach archipelagu Aaru źli ludzie zakopują w ziemię różne przedmioty, mające zdolność wywoływania chorób, a gdy upatrzona ofiara, nie wiedząc o tem, postawi przypadkowo stopę na danem miejscu, natychmiast ulegnie odpowiedniej słabości.

Oczarowanie odbywa się tem łatwiej, jeśli nieprzyjacielowi udaje się otrzymać jakąkolwiek część ciała z osoby, na którą pragnie sprowadzić chorobę; na tem wierzeniu opiera się właśnie zwyczaj starannego spalania lub wogóle niszczenia odpadków paznokci, włosów i t. p. Spotykałem i śród naszego ludu podanie, że kto znajdzie czyjeś włosy lub paznokcie, może uroczyć ich właściciela. U murzynów australskich rozpowszechnione jest mniemanie, że zdobywszy cudze włosy lub części paznokci, można wywołać febrę u danego osobnika. Na wyspach Luang i Sermata można przez spalenie cudzych włosów lub odpadków paznokci przy jednoczesnem zaklęciu wywołać obrzęk głowy lub rąk, a przez spalenie jej wydzielin — krwotok. Bywają jeszcze liczne inne przyczyny chorób, np. wola bóstwa, wiatry oraz „złe spojrzenie".

Widzimy tedy, że w pojęciu ludów pierwotnych choroby powodowane bywają przeważnie przez istoty nadprzyrodzone. Dlatego też zupełnie jest naturalnem i logicznem, iż pomocy i wyleczenia oczekuje się tam tylko od takich ludzi, którzy są w posiadaniu sił nadprzyrodzonych, którzy pozostają w bezpośrednich stosunkach z odpowiednimi duchami, czy to z bóstwami, czy z duszami nieboszczyków lub demonami, którzy umieją badać ich wolę i zamiary, poskramiać ich gniew, albo też wypędzać ich lub osłabiać ich potęgę. Wszelako choroba nie jest jedynem nieszczęściem, jakie nawiedzić może człowieka. Ten ostatni pragnie się uchronić od wszelkiego zła, chce mieć powodzenie w przedsięwzięciach, błogosławieństwo przy pracy około roli, szczęście podczas łowów lub bitwy, a dlatego też musi być w dobrych stosunkach z potęgami nadprzyrodzonemi, przynoszącemi błogosławieństwa i nieszczęścia. Dla pewniejszego skutku potrzebna jest pomoc pośredników, a więc znowu ludzi, mających wpływ na duchy i bóstwa. To nam właśnie tłomaczy, dlaczego u ludów pierwotnych widzimy nadzwyczaj często funkcye *lekarskie* i *kapłańskie* połączone w tych samych rękach. Lekarz wykonywa obrządki kapłańskie, albo też kapłan leczy, gdyż traktowanie chorego jest pewnego rodzaju służbą bożą, podlegającą ścisłym rytualnym przepisom i praktykom. Stosunek z duchami jest w pojęciu tych ludów służbą bożą, albowiem nawet demony przynosić mogą błogosławieństwo, jeśli działają na nieszczęście lub na niekorzyść naszych wrogów. Lekarz lub kapłan, zniewalający je do pewnych czynów, staje się w ten sposób równocześnie *czarownikiem*. Ale zarazem staje się on *prorokiem*, przepowiadaczem przyszłości, ponieważ od świata duchów może się dowiedzieć o wszystkiem, co ma nastąpić, np. o tem, czy wyprawa wojenna się powiedzie, czy głód rychło ustanie itd. Stąd też u dzikich ludów znajdujemy najczęściej wszystkie te czynności sprawowane przez jedne i te same osoby. Podróżnicy mówią nam to o lekarzach, to o kapłanach lub prorokach, albo też o czarownikach, ale zwykle są to jedno i te same osobistości, które przedstawiają się podróżnym w tej lub owej roli. (D. n.).

Dr. H. T. Rozicki.

Jeżeli Thiel pragnął znaleźć w drugiej swej żonie niezmordowaną robotnicę i wzorową gospodynię, życzenie to spełniło mu się w sposób nadspodziewany. Razem z żoną przypadły mu jednak w udziale trzy rzeczy, o których nie wiedział: twarde, despotyczne usposobienie, swarliwość i brutalna namiętność. Po upływie sześciu miesięcy w całem miasteczku wiedziano, kto w domku dróżnika dzierży rządy. I żałowano Thiela.

— Szczęście baby, że dostała takiego dobrego baranka, jak Thiel — mówili oburzeni mężowie; są tacy, u którychby się miała z pyszna. Żeby też takiego „stworzenia" nie można było nauczyć rozumu, jeśli nie innym jakimś sposobem, to chociażby cięgami. Skórę przetrzepać jej trzeba, ale to tak, że aż ha!

Od tego jednak Thiel, mimo mięsistych swoich ramion, bardzo był dalekim. To, nad czem sąsiedzi tak się unosili, zdawało się go obchodzić mało. Nieskończonych kazań żony swojej wysłuchiwał zazwyczaj w milczeniu, a gdy zdarzyło się, że odpowiedział, wolne tempo, podobnie jak i cichy, chłodny ton jego mowy tworzyły najdziwniejszy kontrast z piskliwem ujadaniem kobiety. Świat zewnętrzny niewielkie widać wywierał nań wrażenie; zdawać by się mogło, że nosił on w sobie coś, co szczodrze odpłacało mu dobrem za złe, którego z zewnątrz doznawał.

Mimo niespożytej swojej flegmatyczności, miewał jednak chwile, w których żartować z sobą nie pozwalał. Zdarzało się to zawsze z powodu rzeczy, dotyczących Tobiaszka. Natenczas dziecinnie dobre, uległe usposobienie jego nabierało takiej stanowczości, że nawet niepohamowana natura Leny sprzeciwiać się nie śmiała.

Chwile jednak, w których przejawiała się ta właśnie strona jego charakteru, z biegiem czasu stawały się coraz rzadsze, aż w końcu zaniknęły zupełnie. Pewien bierny opór, którym w pierwszym roku walczył przeciwko despotyzmowi Leny, w drugim zatracił się również całkowicie. Po scenie z żoną szedł już obojętnie, jak dawniej, na służbę, nie ugłaskawszy jej uprzednio. Często przepraszał ją nawet. Samotny posterunek w pośrodku gęstwiny sosnowej nie był mu już najmilszem schronieniem. Myśl o żonie żyjącej krzyżowała cichą, przywiązania pełną myśl o nieboszczce. Do domu powracał nie ze wstrętem, jak z początku, lecz namiętnym pośpiechem, licząc nieraz godziny i minuty do chwili zwolnienia.

Thiel, którego z pierwszą żoną wiązała miłość raczej uduchowiona, wskutek siły brutalnych popędów wpadł pod władzę drugiej, stając się w końcu we wszystkiem niemal od niej zależnym. Czasem świadomość tego obrotu rzeczy sprawiała mu zgryzoty sumienia, uciekał się tedy do wielu środków pomocniczych, aby się z takim stanem sprawy pogodzić. Budkę swoją i tor, pieczy jego poruczony, zaczął uważać pokryjomu za ziemię świętą, która miała być wyłącznie poświęcona cieniom nieboszczki. Za pomocą różnych pretekstów udawało mu się dotychczas istotnie powstrzymać żonę od towarzyszenia mu w te strony.

Żywił nadzieję, że udawać mu się to będzie i nadal. Nie wiedziała przecież, gdzie szukać „budy," której numeru nawet nie znała.

Przez taki rzetelny podział czasu między żyjącą i zmarłą Thiel w samej rzeczy sumienie swoje uspokoił.

Nieraz, co prawda, zwłaszcza zaś w chwilach samotnego skupienia, w którem bardzo serdecznie czuł się złączonym z nieboszczką, spostrzegał obecny swój stan w świetle prawdy i uczuwał wstręt.

Kiedy miał służbę dzienną, duchowe obcowanie z nieboszczką ograniczało się na mnóstwie miłych wspomnień z czasów wspólnego pożycia. Wśród mroku jednak, kiedy śnieżyca szalała w sosnach i po torze, późno po północy, przy świetle latarki, budka stawała się kaplicą.

Z wyblakłą fotografią nieboszczki na stole, z otwartym psałterzem i Biblią siedział, czytając i śpiewając naprzemian przez całą, długą noc, niepokojony jedynie przez pociągi nadpędzające, wpadając przytem w ekstazę, potęgującą się aż do

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Percy B. Shelley (szkic psychologiczny).

Pełne smutku i sprzeczności życie jego było tylko odbiciem głębokiego rozdarcia wewnętrznego. Istotnie, w Shelleyu zauważyć się dają dwa prądy przeciwległe: niedostrzegalne prawie w „Queen Mab,“ zarysowują się one wyraźnie w „Laon and Cytna,“ aby wybuchnąć w swej pełni w „Prometheus Unbound.“ Pisarz natchnienia czysto chrześciańskiego, był on zarazem gorącym wielbicielem pogaństwa, tej szalonej uczty życia. Shelley zresztą nie zdawał sobie jasno sprawy z tej sprzeczności, o którą właściwie roztrąciło się całe jego życie. „Jakże by daleko ludzkość już była, gdyby nie upadek Aten!“ — wzdychał poeta i jeszcze wyraźniej: „Oh! gdyby nie ten szereg nieszczęsnych wojen, które doprowadziły do podboju rzymskiego!“ *). To było pisane w tych samych czasach, kiedy tworzył swego „Prometeusza,“ ten utwór nawskróś chrześciański. „Był to wielki mito-poeta. Jego mity nowożytne są równoznacznikami greckich, lecz filozofia wcielona w nich zawiera czynnik zupełnie obcy grekom. Obecnie, gdy dogmatyczna łupina pękła, jak szklana komórka Goethowego Homunculusa, jego siła duchowa stała się wolną potęgą czynną, w ciszy działającą dla przetworzenia społeczeństwa. Na Shelleyu kończy się Renaissance; połączenie hebraizmu i hellenizmu na nim się rozpoczęło i więcej niż rozpoczęło“ **). W Shelleyu miały się spotkać i stopić w jedną całość duch nowożytny i starożytność. Niektórzy sądzą, iż w duszy doskonałej powinien być zadzierzgnięty ten węzeł, który pogaństwo wraz z chrystyanizmem splotło. Faktem jest, iż nikt tego zadania dotychczas nie rozstrzygnął. Stawiał je sobie, jak wiadomo, Goethe. Jego *Ifigenia* jest nietylko odblaskiem bohaterki Eurypidesa, ale zarazem i św. Agaty. Poeta opowiada, iż tworząc tę postać kobiecą, miał wciąż przed oczyma obraz świętej: dał sobie słowo, iż Ifigenia niczego nie dokona, czegoby ta ostatnia dokonać nie śmiała. Z tego powodu nie przyjmuje ona udziału w porwaniu posągu Dyany i odradza je bratu. Św. Agata nie może przecie maczać rąk w kradzieży. Wrażenie w ten sposób zdobyte jest nader mieszane. Nasze reminiscencye klasyczne zbite są z tropu, gdyż pojęcia chrześciańskie wprowadzają w nie ton inny. Zresztą Goethe sam uważał pod koniec życia *Ifigenię* za dzieło chybione i żałował, iż nie trzymał się ściśle tradycyj pogańskich. Wiadomo, iż bardziej jeszcze mieszanem jest wrażenie sprawiane przez drugą część *Fausta,* gdzie nad wspaniałą budowlą doryjską piętrzą się wieżyce gotyckie. Mózg Goethego był tu retortą psychologiczną, w której dwa światy odrębne miały utworzyć wspólną, organiczną całość. Ale pod tym względem wszyscy jednogłośnie uważają dzieło za poronione. Ono nas zachwyca, jako zagadka psychologiczna, przykuwa swą złożonością i symbolizmem, śledzimy za krętemi ścieżkami, gdzie mistyka chrześciańska przechodzi w „das immer Weibliche“ — tem, co ono zawiera w sobie dziwacznego. Ale nic więcej. Goethe był temperamentem nawskróś pogańskim, ostatni, a może i dwa ostatnie akty jego dzieła są zmięte: więcej tam wysiłków i sadzenia się na wiarę, niż istotnej wiary, a jeżeli są elementy mistyki, to czysto chorobliwe, rysa, która kazi posąg marmurowy nawet tego geniusza. Goethe nie podołał zadaniu, jest to wspaniała ruina, niewykończona i wieżyce gotyckie mają nad nią tylko kontury mgliste, gotowe się zapaść lub rozwiać. Na nim powtórzyło się to samo, co Leonardo da Vinci poprzednio przechodził. „Wieczerza Pańska“, to źródło czyste wiary, u którego cały świat chrześciański przychodzi odświeżać swe zapały religijne, tworzona była przez niedowiarka. Ale wiadomo, iż głowa Zbawiciela pozostała niewykończoną. Naprożno mistrz wysilał się i przystępował setki razy do oddania świętego oblicza. Ono pozostało dlań nieuchwytnem!

Todhunder sądzi, iż Shelley dokonał zadania, na które Goethe się porywał bezowocnie. Jest to twierdzenie zbyt śmiałe. *Prometeusz* jest, zdaniem naszem, zupełnie nie greckim. Wiadomo, iż w zaginionych częściach tragedyi Eschylosa bohater ostatecznie godzi się z Jowiszem. Czemu? Gdyż jest bezsilnym. Gdyby nie był przykuty, znalazłby broń i toczyłby walkę w dalszym ciągu: w braku innej broni ukradłby piorun i rzucił pod nogi Jowisza. Eschylos robi z Prometeusza człowieka czynu, walki, który nie przebiera w środkach, gdy dąży do celu szlachetnego, tak samo Euripides nie bał się obarczyć czystości Infigenii kradzieżą. Grecy, ci szaleńcy, fanatycy życia upajali się jego czarami w pełnym ich realizmie, obawiając się bohaterstwa, które przekracza rzeczywistą ludzką naturę. Nie chcieli też wystawiać Prometeusza na walkę bezowocną i sądzili, iż bardziej jest ludzkiem zrobić zeń kawał dyplomaty. Nie jest mu nieprzyjemnem, że bohaterowie mają słabostki czysto ludzkie. One tylko jaskrawiej zarysowują wielkość Prometeusza, czyniąc go nam zarazem bliższym, bardziej pokrewnym. Bohater grecki żadną linią nie wykracza po za sferę naszej sympatyi, przedstawiając zarazem idealną pełnię życia. On wybierze inną chwilę, bardziej dogodną, gdy można będzie zadać cios śmiertelny wrogowi rodzaju ludzkiego. Prometeusz Shelleya jest tworem zupełnie innego rodzaju. On wybiega po za sferę ludzkich słabości i ludzkich bohaterstw. Odwołuje nawet przekleństwo, które w uniesieniu rzucił na Jowisza. Stąd jęki Ziemi, która sądzi, iż jej bohater jest zwyciężony *).

Ziemia nie pojmuje Shelleyowskiej doktryny, iż zła nie wolno zwalczać złem. Ten Prometeusz — to święty z aureolą na głowie i nie omylimy się, twierdząc, iż Shelley miał za pierwowzór postać Zbawiciela. Tu mowy nawet być nie może o żadnych kompromisach i ugodach, chociażby one miały na widoku tylko odłożenie walki. Prometeusz nie może nie przebierać w orężach i dlatego zmuszony jest wyrzec się boju, nie sprzeciwiać się złemu i znosić ciosy. Prometeusz Shelleya wydaje mi się starszym bratem Irydiona, odrodzonego. W ten sposób Prometeusz skazany został

*) *Select Letters of P. B. Shelley*, Edited by R. Garnett.

**) J. Tadhunder, *A study of Shelley*, str. 10.

*) Poemat ten mamy przyswojony w przekładzie F. Jezierskiego. *Red.*

---

wizyj, w których nieboszczkę widział, jak żywą.

Urząd, który piastował już całych lat dziesięć, z powodu odległości wartowni przyczyniał się jeszcze do spotęgowania mistycznych skłonności dróżnika.

Budka, co najmniej o trzy kwadranse od mieszkań ludzkich ze wszystkich czterech stron odległa, leżała w pośrodku lasu, tuż obok toru, którego barycry obsługiwał.

Latem mijały dnie, zimą tygodnie, zanim, prócz niego i jego towarzysza, ktokolwiek tor przestąpił. Powietrze i zmiana pór roku przerywały peryodycznem powtarzaniem się swojem niemal wyłącznie jednostajność tego pustkowia. Wypadki, które, prócz owych dwóch nieszczęsnych zdarzeń, naruszyły regularny przebieg służby Thiela, łatwo było policzyć. Przed czterema laty przefrunął nadzwyczajny pociąg cesarski, wiozący monarchę do Wrocławia. Pewnej nocy zimowej pociąg pośpieszny przejechał jelenia. W pewien upalny dzień letni Thiel, podczas rewizyi toru, znalazł zakorkowaną butelkę z winem, która przy dotknięciu parzyła, jak ogień i której zawartość uważał za bardzo dobrą dlatego, ponieważ po odkorkowaniu strzeliła w górę, jak wodotrysk: oczywiście więc była zdrożdżoną. Butelka ta, którą Thiel w celu ochłodzenia schował w płytkiem wybrzeżu leśnego jeziora, zniknęła stamtąd niewiadomym sposobem, tak że po latach jeszcze ubolewał nad jej utratą.

Trochę rozrywki sprawiała dróżnikowi studnia, tuż poza budką jego stojąca. Od czasu do czasu czerpali z niej robotnicy kolejowi lub telegraficzni, w pobliżu zajęci, przyczem naturalnie wszczynano krótką gawędkę. Nieraz przychodził i leśniczy, aby ugasić pragnienie.

Tobiasz rozwijał się powoli, dopiero przy końcu drugiego roku nauczył się mówić i chodzić. Ojcu okazywał szczególną miłość. W miarę jak chłopak nabierał rozumu, obudziła się i dawna miłość ojca. O ile ta wzrastała, o tyle zmniejszało się uczucie macochy dla Tobiasza, wreszcie zaś uczucie to przeistoczyło się w niewątpliwą niechęć, kiedy po upływie roku Lena również wydała na świat chłopca.

Odtąd źle się działo Tobiaszowi; zwłaszcza pod nieobecność ojca dręczono go bezprzestannie, każąc mu, bez najmniejszego wynagrodzenia, zużywać słabe siły na usługi około małego krzykacza. Dziecko niszczyło się przytem coraz więcej. Główka jego nabrała niezwykłej objętości, czerwone jak płomień włosy, a pod nimi kredowa twarzyczka sprawiały wrażenie przykre, w połączeniu zaś z całą nędzną postacią wzbudzały litość. Ilekroć tak wyglądający Tobiasz wlókł się z małym, zdrowiem tryskającym braciszkiem na ręku ku Sprei, po za oknami chat rozlegały się przekleństwa, które jednak nigdy dalej nie wyległy. Thiel, którego to najbliżej przecież dotyczyło, zdawał się nie widzieć, podobnie jak nie chciał rozumieć przymówek, czynionych mu przez życzliwych sąsiadów.

II.

Pewnego czerwcowego poranku, około godziny siódmej, Thiel powrócił ze służby. Żona jego nie dokończyła jeszcze kilku słów powitania, gdy już zwykłym swoim sposobem zaczęła lamentować. Dzierżawne pole, które dotychczas zaopatrywało rodzinę w ziemniaki, zostało im przed kilku tygodniami wymówione, a w zamian niczego jeszcze nie znalazła. Mimo że staranie koło roli należało do jej obowiązków, Thiel ciągle słuchać musiał, że tylko on będzie winnym, jeżeli w tym roku przyjdzie kupić dziesięć worków kartofli za ciężkie pieniądze. Thiel mruknął tylko i nie zważając na gadanie Leny, skierował się wprost ku łóżeczku starszego swego dziecka; w nocy, wolne od służby, łóżko to z dzieckiem dzielił. Tu spoczął i z troską na dobrej swojej twarzy zaczął przyglądać się chłopcu, odpędzał przez jakiś czas natrętne muchy, aż go wreszcie zbudził. W błękitnych, głęboko osadzonych źrenicach dziecka odbiła się wzruszająca radość, śpiesznym ruchem ujęło rękę ojca, ściągając kąty ust w żałosny uśmiech. Dróżnik pomógł mu przy naciąganiu nielicznych składowych części ubrania, gdy zaś na

na rolę nader bierną; to nie on zwalił potęgę Jowisza, on wyczekuje biernie w sarkaniach i żalach, a pracę tytaniczną wykonywa kto? Demogorgon, sprawiedliwość ogólna, rozwój świadomości w masie ludzkiej. Na ten bój dziejowy, jaki się toczy między Jowiszem i Demogorgonem, Prometeusz żadnego wpływu nie wywiera: to arystokrata duchowy — i tu znowu z pod chrześcianina występuje poganin — który w towarzystwie trzech rozkosznych Oceanid zamknął się w pustelni kaukazkiej i one mu osładzają chwile rezygnacyi i cierpienia w oczekiwaniu, dopóki kto inny nie stoczy walki ze złem. W pomyśle Shelleya czynniki chrześciańskie stanowczo przeważają. Jest on może bardziej szczytny, ale bardziej niedostępny i obcy, niż Tytan greków. Z drugiej strony Prometeusz Shelleya ma w sobie za wiele apostoła nieomylnego i nieubłaganego, niż na to pogoda grecka pozwala. On jest zbyt pewny w rozróżnieniu zła od dobra i tępi pierwsze z taką zapamiętałością, iż grecy zadrżeliby z obawy o piękno wszechświata. Chcieli oni, żeby istniała grota Trofoniusza, w której można było smakować rozkoszy sabbatu, a w ascetyzmie apostołów widzieli wiele zarozumiałości, która równoważy poniekąd jego zasługi, a nie wiadomo jeszcze, jakie skutki będzie miała. Nie sądzimy więc, aby zadanie splecenia węzła harmonijnego pomiędzy pogaństwem a chrystyanizmem przez Shelleya zostało wykonane.

I owszem, on sam przerzucany wciąż był z jednego bieguna myśli i uczuć na drugi i to rozdarcie wewnętrzne objaśnia nam wszystkie nieszczęścia jego życia. Ten człowiek, który głosił tylko poświęcenie i miłość, był źródłem łez i cierpień „zupełnie pogańskich.“ Nie myślimy brukać „Epipsychidionu“ przełożeniem go na język prozy, uważamy, iż autor miał zupełne prawo odczuwać te uczucia, które w nich wyraża — jest to najszczytniejszy śpiew miłosny, jaki kiedykolwiek się rozlegał pod słońcem, pełen platonizmu, ale zarazem wulkan huczący lawą i snopami iskier. Gdyby Shelley był zupełnie konsekwentny, uzupełniłby swą teoryę niesprzeciwiania się złą teoryą absolutnej czystości, jak ją głosi chrześciaństwo, jak to czyni Tołstoj. Ale on był zbyt młodym, aby się na takie wyjście zgodzić. Tołstoj jest właśnie żywym dowodem głębokiej nie do pokonania sprzeczności, jaka rozdziela te dwa bieguny myśli. Shelley przeskakiwał z jednego na drugi pod wpływem pobudek i wypadków życiowych, co bywa zresztą bardziej w zgodzie z temperamentem poety, aniżeli surowa stałość przekonań. Ta sprzeczność była źródłem wszystkich jego nieszczęść. To przemawiał w nim grek oszalały radością bytu, rozbrzmiewający szczęściem w jego strugach, to znowu chrześcianin, znający wszystkie gorycze żalów i ukąszenia zgryzot. Pewne widma trapiły go aż do śmierci, zrobiły mu z serca grób. Po niektórych cieniach jego czoła przyjaciele poznawali, iż przechodzi przed nim widmo pierwszej żony. Inne jego pojęcia były nie mniej chwiejne. Jego filozofia tak jest złączona z poezyą, jak kolor kwiatu z kształtem. Żadna analiza nie oddzieli ich od siebie. Te eteryczne esencye myśli oddzielone od ich mitologicznej formy, tracą swój sens. Kwiat wrzucony do retorty staje się czemś bezkształtnem. Filozofia Shelleya nie lubowała się w jasnościach wiedzy pozytywnej, która zresztą znajdowała się wówczas jeszcze w kolebce. Był to raczej dyalektyk zajęty ideami, a nie filozof systematyzujący fakty. Jakkolwiek nie miał określonego systemu, zbliżał się do panteizmu. Po za światem realnym istniał dlań świat ducha—on zwykle utożsamiał te dwa światy. Dusza nasza jest tylko falą, która powróci do oceanu ducha, skąd pochodzi, ale czy mieć będzie byt osobisty — tego nie wiemy. Ten „duch“ nie jest bynajmniej dla Shelleya funkcyą naszego mózgu, lecz czemś w rodzaju transcendentalnego „Sein“ niemców. Utożsamia on byt z myślą i zbliża się pod tym względem do filozofii Fichtego, tego metafizyka romantyzmu. I wogóle Shelley, zdaniem naszem, najdoskonalej urzeczywistniał wszystkie teorye romantyki. Marzyła ona o poezyi „ezoterycznej,“ któraby była połączeniem sztuki, wiedzy i filozofii, wcielonem w formy mitów. W niemieckiej poezyi, oprócz kilku chybionych prób Novalisa i Tiecka, nie znajdujemy nic, coby wymaganiom tej formuły odpowiadało. Urzeczywistnił ją w zupełności dopiero Shelley. Jest to istotnie największy mitopoeta nowożytności. A treść jego mitów jest nie tylko filozoficzna, ale zarazem religijna. Czujemy w niej prorocze tchnienie nowych potężnych światów, pod którem stare obyczaje i dogmaty, zło i krzywdy rozwieją się jak zwiędłe liście. Pod względem formy „Prometeusz“ także odpowiada wymaganiom romantyki, zbliżając się najbardziej do muzyki; jest to oddzielny świat oderwany od naszego, który swą ciszą i wspaniałością przypomina symfonię, a mianowicie IX symfonię Beethowena. Wspólny kawał natchnienia służył za materyał, z którego te dwa sny zostały wykute.

L. W.

Z NIEMIEC.

Nowe dzieło Brandesa.— „Julian Odstępca“ F. Dahna.

Pojawił się na rynku księgarskim duży tom studyów krytycznych o 530 stronicach wspaniałej ósemki *), obejmujący kilkanaście portretów literackich — Jerzego Brandesa. Co za umiejętność charakterystyki, co za szeroki i ciepły zarazem pędzel malarza obyczajów ludzkich, co za subtelne, miękie, prawie kobiece dotknięcie strun delikatnych! Zachodzi wielka różnica pomiędzy znakomitym szermierzem postępu w Danii i Tainem, filozofem francuskim. Różnicę tę obaj pisarze wyświetlili swą działalnością literacką i Brandes przed laty kilku stwierdził ją w publicznem wyznaniu swej wiary krytycznej. Taine'owi chodzi o tło, o uszeregowanie stosunków, śród których powstają talenty, rodzi się geniusz. Środek ciężkości w krytyce Brandesa przenosi się na osobistość autora; krytyk prowadzi nas do owych tajników duszy pisarza i z tej przędzy poglądów, marzeń i przesądów wysnuwa nici, którym utwór zawdzięcza swoje powstanie. Nie zajmuje go społeczeństwo — jako gromada ludzka w pewnych cechach i pewnych potrzebach — ale jednostka pisarza; nie sądzi — co mimo zaprzeczeń wynika z samej metody Taine'a — ale objaśnia. Jest w tem postępowaniu pewien arystokratyzm ducha, jak w metodzie Taine'a pewna doza demokratyzmu naukowego. Jest w nim dalej coś z owych helleńskich wspomnień, które błąkają się w literaturze współczesnej, odzywając się echem napół radosnem,

*) *Menschen und Bücher*, 1894.

---

prawym, obrzmiałym trochę policzku dziecka spostrzegł biało-czerwone ślady palców, coś, jakby cień, legło nagle na jego rysach.

Kiedy przy śniadaniu Lena z większą jeszcze zaciętością wróciła do wspomnianej sprawy gospodarskiej, potok jej słów wstrzymał wiadomością, że przełożony oddał mu za darmo piędź ziemi, leżącą wzdłuż wału kolejowego, tuż obok budki, z powodu, że szmat ten dla niego samego był za odległym.

Lena początkowo nie wierzyła, powoli jednak przestawała wątpić, wpadając przytem w niezwykle dobry humor. Pytania co do wielkości i dobroci owej roli i inne jeszcze podobne pochłaniały ją, a kiedy usłyszała, że na ziemi tej są jeszcze dwa małe drzewka owocowe, już nie posiadała się z uciechy. Gdy już pytać nie było o co, gdy nadto dzwonek od drzwi kramarza, którego dźwięk, nawiasem mówiąc, słyszano w każdym domku zosobna, rozlegać się jął coraz częściej, strzałą wybiegła, by nowinę wszystkim obwieścić.

Podczas gdy Lena wchodziła do ciemnej, towarami przepełnionej komory kramarza, dróżnik w domu zajmował się wyłącznie Tobiaszkiem. Chłopak siedział na jego kolanach, bawiąc się kilku szyszkami sosnowemi, które mu Thiel przyniósł z lasu.

— Czem chciałbyś zostać?—pytał ojciec, a było to pytanie tak stereotypowe, jak odpowiedź chłopca: „majstrem drogowym“. Pytanie to nie było żartem, bo marzenia dróżników sięgały istotnie wysoko, zupełnie też poważnie żywił nadzieję i życzenie, aby Tobiasz z pomocą boską został czemś nadzwyczajnem. Zaledwie bezkrwiste wargi malca wymówiły ów wyraz, twarz Thiela powoli zaczęła się rozjaśniać, aż w końcu zapromieniała formalnie wewnętrzną szczęśliwością.

— Idź, Tobiaszku, idź się bawić — rzekł po chwili, zapalając sobie fajkę o rozżarzoną u paleniska drzazgę. I malec uradowany, lecz wciąż nieśmiały, wyślizgnął się drzwiami. Thiel rozebrał się był w łóżku, a poleżawszy jakiś czas z oczami utkwionemi w nizką, popękaną powałę, zasnął. Koło południa zbudził się, odział i wyszedł na drogę, gdzie natychmiast znalazł Tobiaszka, który z dziury w murze palcami wyskrobywał wapno i do ust je wsuwał. Dróżnik ujął go za rękę, przeszedł z nim wzdłuż ośmiu może domków osady, aż nad Sprewę, która czarna, szklista płynęła między skąpo liściem okrytemi topolami. Tuż koło wybrzeża leżał odłam granitu, na którym Thiel usiadł.

Cała osada przywykła go tu widzieć, ilekroć pogoda była trochę tylko znośniejsza; dzieci szczególniej były do niego przywiązane, zwały go „dziadziem Thielem“ i uczyły się od niego różnych gier, które jeszcze z czasów swojej młodości pamiętał. Najlepszą jednak część swoich wspomnień chował dla Tobiaszka: wycinał mu strzały, które biegły wyżej, aniżeli strzały innych chłopców, z brzeziny strugał mu fujarki, a nieraz śpiewał nawet surowym basem swoim pieśń wojenną, zcicha uderzając rogową rączką scyzoryka o korę fujarki.

Ludzie za złe mu brali te figle, nie pojmując, jak ze smarkaczami tyle czasu mógł spędzać. Właściwie jednak powinni byli być z tego zadowoleni, bo dzieci pod jego dozorem zupełnie były bezpieczne, nadto zaś Thiel zajmował je też rzeczami poważnemi: starszych z zadań szkolnych przesłuchiwał, pomagał im przy uczeniu się wierszy z Biblii lub psałterza, a z malcami sylabizował: „a“ „b“—„ab“, „d“ „o“—„do“ i tak dalej.

Po obiedzie dróżnik zdrzemnął się powtórnie; potem wypił poobiednią kawę i zaczął czynić przygotowania do wyjścia na służbę. Jak na wszystkie czynności, tak i na tę dużo potrzebował czasu; zawsze w tym samym porządku wędrowały przedmioty, starannie rozłożone na małej orzechowej komodce, a więc: nóż, notes, grzebień, zegarek w futeraliku—do kieszeni jego ubrania. Małą, w czerwony papier oprawną książeczkę otaczał szczególną pieczołowitością, kładąc ją na noc pod poduszkę, a nosząc dniem na piersi, w kieszeni munduru. Na etykiecie, pod okładką widniał niedołężny, ale ozdobny napis, ręką Thiela złożony: „Książeczka oszczędności Tobiasza Thiela“. (D. c. n.)

napół smutnem po utraconej przeszłości w sercu poety. Nigdzie lepiej, niż w tym wypadku zastosować się nie da słynny aforyzm albumowy Wilhelma Scherera: „Gdym był młody, zdawało się, że zostanę poetą; nie starczyło jednak amunicyi i zostałem krytykiem.“ Tak, zdaje mi się, należy rozumieć Brandesa, który i na nasze ostatnie pokolenie wywarł wpływ stanowczy, niezbyt głęboki może — bo filozofem nie jest i podstaw myślenia nie poruszył, ale szeroki. Wobec tego przebaczamy mu łatwo tę „płytkość“ filozoficzną i socyologiczną, jaką w nim odnajdujemy, a sprowadziwszy do stanowiska właściwego, potrafimy w tem, co nam ofiarować może, odnaleźć źródło pewnej artystycznej rozkoszy.

Ponieważ piszemy to z Niemiec, zaznaczmy przeto, iż wychodzi obecnie nowe zeszytowe wydawnictwo „Prądów literatury XIX stulecia.“ Jeżeli w tak bogatem piśmiennictwie książka obcego autora umiała zająć stanowisko tak popularne, to świadczy chyba o jej wartości. Przyznać bowiem należy, że uczyć się literatury i dziejów romantyzmu zachodniego z nich nie można wprawdzie, bo nie są książką szkolną, ani podręcznikiem uniwersyteckim. Ale są tem, co bym odważył się nazwać książką *drugą*, jaką czytamy o danym przedmiocie, zbierając główne motywy oddzielnie słyszanej symfonii, podkreślającą jedne miejsca, opuszczającą inne, mniej ważne, książką przytem niestarzejącą się, bo powstałą w wysokiej temperaturze młodzieńczego zapału i natchnionej walki o ideały.

Są i postacie, o których dopiero za dni naszych mówić można bezstronnie, bo stały się przeszłością. Jedną z nich jest owa postać dziwna, pociągająca zarówno historyków i poetów, opromieniona zachodzącem słońcem, ostatnim, rzec można, historycznym promieniem świata helleńskiego, stojąca również na punkcie zbieżnym rozstajnych dróg, w którym spotkać się miały światy rzymski i germański. Jest to Julian, zwany Odstępcą. Historyę jego — w literalnem znaczeniu tego wyrazu—opowiedział nam Feliks Dahn, niezmordowany chwalca przeszłości germańskiej. (*Julian Abtrünnige*, 1893, trzy tomy, blizko 1½ tysiąca stronic). Jest to prawie kronika, w której autor skwapliwie skorzystał ze źródeł rzymskich i gdzieniegdzie tylko wtrącił uwagi, zdradzające beletrystę i poetę. Pierwszy tom opiewa dzieje młodości, spędzone w zapadłym klasztorze Azyi Mniejszej z woli cezara, który z obawy przed współzawodnikami wymordować kazał rodzinę całą i tylko przypadkowo Julian został uratowany od zagłady. Tutaj spotyka on mnicha Lizyasza, tajemnego wyznawcę misteryi egipskiej i ulega jego wpływom. Drugi tom opowiada nam pobyt Juliana w Gallii, dokąd wysłany został dla poskromienia zwycięzkich hord germańskich. Po istotnych cudach bohaterstwa zostaje ogłoszonym przez wojsko, jako imperator i na rydwanie chwały przeciąga z jednego końca państwa w drugi, aż nareszcie ginie w potyczce z persami. Zaznaczyliśmy już, jak pod piekącem niebem Kapadocyi Lizyasz wprowadza jad zwątpienia w wierzącą duszę młodziana; Dahn prowadzi nas później do Aten, gdzie w szkołach retorów z jednej i w szkole mistyków-symbolistów z drugiej strony z serca Juliusza ulatują resztki dawnych wierzeń i gdzie staje już przed nami zupełnie do boju gotowy „Odstępca.“ Widzimy go takim w Galii i takim umiera też zwyciężony. Jest rzeczą zrozumiałą, jak szerokie pole dla myśli i wyobraźni pisarza przedstawia temat tego rodzaju: dramat, rozgrywający się w tylu różnych miejscach, przy tak różnem oświetleniu historycznem i obyczajowem, mógł nęcić poetę o szerokich skrzydłach natchnienia. Długo, całych lat piętnaście, pisał Dahn swego Juliusza, ale ani nie wysnuł go z wyobraźni swej, ani farb na palecie swego talentu beletrystycznego nie posiadał tyle i tak silnych, ażeby ofiarować nam dzieło przedmiotu godne. Nie jest to obraz o sile Matejki albo marmuru Michała Anioła: przypomina raczej owe bezkształtne sztychy dawnych wieków, które świadczą zaledwie o dobrych chęciach, ale nie sprawiają potężnego wrażenia. Wobec powieści historycznych przypomina się zawsze dowcip Brandesa o kawie figowej. Są tam jednak miejsca udatne: kilka figur drugoplanowych, szczególnie germańskich, scena w której papież proponuje Juljuszowi sporządzenie zapisu Justyniana (dawno już nieżywego) i darowanie papieżowi Rzymu z okolicą, scena przekleństwa, jakie rzuca na Juliusza matka. Ale powieścią, ani dramatem utwór ten nie jest.

W ostatnich czasach probowano kilkakrotnie postać tę wprowadzić do dramatu: uczynił to Ibsen, uczynił także Vrchlicki i tę pracę przełożyła przed kilku laty Konopnicka. Byłoby więc bardzo ze względów literackich ciekawem porównać tych „Julianów,“ jako przedmioty artystycznej twórczości z cezarem historycznym.

Zen. Por.

LITERATURA POLSKA.

Kazimierz Morawski. *Cesarz Tyberyusz.*

Żyjemy w epoce studyów i poszukiwań psychologicznych. Umysł badawczy chce przeniknąć wszędzie, wyjaśnić najbardziej powikłane objawy duchowe. Jednostkę współczesna psychologia rozpatruje jako organizm (nie zawsze jednolity) popędów, skłonności, namiętności. Jej świat uczuciowy zawsze jest tylko odbiciem otoczenia. Każda indywidualność jest więc wyrazem wpływów zewnętrznych, załamujących się i krystalizujących odpowiednio do gruntu psychofizyologicznego. Każdą wybitną, która odegrała ważną rolę w procesie dziejowym, można badać podwójną drogą. Psycholog głównie zwróci uwagę na charakter, na skalę i gatunek umysłu. Socyologa prawie wyłącznie zajmie natura wpływów zewnętrznych. P. Kaz. Morawski jest historykiem, obce mu są tajniki psychologii naukowej. We wstępie uznaje, że „dusza pojedynczego człowieka więcej jest subtelną i więcej skomplikowaną, niż dusza całych społeczeństw, w labiryncie jednej piersi trudniej znaleść nić przewodnią Arjadny, która by nas do ostatecznej celki zaprowadziła, skrytki, z której wychodzą stanowcze imperatywy czucia i działania.“ W słowach tych przebija się umysł historyka, niemogącego wznieść się do objęcia zjawisk dziejowych, jako łącznego procesu różnorodnych stosunków, w duszy zaś upatrującego nie zbiorowy wyraz rozlicznych pierwiastków, lecz jakiś byt odrębny, samoistny. Dla wyświetlenia postaci Tyberyusza, p. Morawski podjął wiele trudu i zachodów, lecz tylko w zakresie erudycyi. Szkic jego nie jest wszakże suchą wiązanką faktów, lecz owiany pewnem technicznem artyzmu, język poniekąd malowniczy, lubo w niektórych miejscach nie bardzo swobodny i naturalny, naszpikowany nieswojskimi wyrazami i zwrotami.

Osobistość Tyberyusza pociągała wielu badaczów. Rzeczywiście, jest on postacią ciekawą i tajemniczą. Popiersie jego przykuwa już uwagę widza. „Potężna głowa, na potężnem osadzona ciele, przykryta bujnym włosem, który spada z tyłu głęboko aż na szyję, nos orli, w oczach i ustach dużo siły, ale zarazem pewnej goryczy, która świadczy, że w tej duszy panował rozstrój, że przez te oczy nigdy nie biła pogoda, że tę postać przeorały jakieś wielkie smutki, których tajników dumne i zaciśnięte usta nie wyjawiają, o których jednak twarz cała głośno, choć ogólnikowo, nam świadczy.“ Bardzo trudno zapuścić sondę historyczną aż do dna duszy tego małomównego, najskrytszego człowieka. Pochodził ze sławnej rodziny Klaudyuszów. Ojciec jego pierwotnie należał do otwartych republikanów, następnie pogodził się z jaśniejącem słońcem Augusta i odstąpił mu swą żonę Liwię. Dochowało się podanie, że Tyberyusza w chłopięcych latach przezwano „starcem.“ Człowiek ten rzeczywiście nigdy nie zaznał wiosny i bez uśmiechu nieledwie przeszedł przez całe życie. Jednym z najważniejszych przełomów w jego życiu było przymusowe poślubienie Julii, córki Augusta. Związek ten potargał jego uczucia brutalnie, gdyż zmusił go porzucić ukochaną żonę. Pożycie małżeńskie było bardzo nieszczęśliwe. Wreszcie Tyberyusz udał się na wyspę Rhodus, na dobrowolne wygnanie. Wyżeglowała z nim cała gorycz i zniechęcenie. Tu ostatecznie skrystalizował się jego charakter. Chętnie zajmował się tam rozlicznymi zagadnieniami i dociekaniami, umysł jego z upodobaniem błąkał się po pomrocznych manowcach jałowej erudycyi.

Cały ten pobyt rodyjski był poniekąd gwałtem zadanym naturze. Okoliczności zewnętrzne wypaczały charakter Tyberyusza i na gruncie tym kiełkowały popędy samoniszczycielskie. Wreszcie został cezarem, miał wówczas latt 55. Warunki wewnętrzne jego duszy, jak również okoliczności zewnętrzne, nie bardzo sprzyjały temu stanowisku. Władcą tronu został pustynnik moralny, w którego duszy brzmiała tylko ponura melodya zniechęcenia i nieufności. Powszednie targowisko życia napawało go lękiem, uczuciem bolesnem i wrogiem. Stawał się ascetą. Do jego zawartego wnętrza spływały obficie wszelkie piekące i bolesne gorycze. Cezar pielęgnował je troskliwie, snuł mściwe myśli, które niekiedy, po długim przeciągu lat, w czyn się zamieniały. Stał się fatalistą i niedowiarkiem. Wszelkie wierzenia i sympatye uczuciowe wciąż się ulatniały. Na opustoszałem niebie zostały już tylko gwiazdy, z których z upodobaniem wyczytywał bieg wypadków. Przezwano go najsmutniejszym z ludzi, *tristissimus hominum.* Jest w tem wyrażeniu jakaś groza i jakiś majestat. Odgadujemy tu smutek człowieka, który w życiu tak sporo doznał zawodów, a prócz tego smutek starego i starzejącego się rodu, wreszcie smutek cesarza, monarchy, panującego w epoce przełomu stosunków. Stopniowo zatracił Tyberyusz zdolność do czynu, do świadomego, energicznego regulowania swego życia, przyjmował położenie, jakie było i łamał się boleśnie z życiem i trudnościami, których pokonać nie mógł. Wiele katastrof, jakie zaszły podczas jego panowania i jakie ściągnęły nań sławę okrutnego władcy, miało przyczynę w braku miary i taktu moralnego z jego strony. Stał on zawsze na odwachu przed własnemi uczuciami, jak się obrazowo wyraża prof. Morawski i tłumił szlachetniejsze porywy. Życie swoje, i tak pełne w dramatyczne wydarzenia, pod osłoną tajemniczego zasklepienia się wciąż dramatyzował moralnie z pewnem okrutnem zamiłowaniem.

Nie było naszem zadaniem streszczać całego dziełka p. Morawskiego: chcieliśmy tylko naszkicować sylwetkę duchową niezwykle ciekawej i dużo mówiącej osobistości. Postać ta wymaga jednak ręki utalentowanego psycho-socyologa i zarazem artysty. Natura ludzka, a więc i Tyberyusza, jest tak skomplikowana, iż tylko artysta-myśliciel, obdarzony wyobraźnią twórczą, zdoła wszechstronnie ją pojąć i rozświetlić.

Bron.

NOWE KSIĄŻKI.

B. Wilczyński, *Historya muzyki w krótkim zarysie*, str. 274, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Szczegółowa ocena tej książki należy do pism specyalnych; my tylko ogólnie zaznaczyć możemy jej charakter i wartość. Co do pierwszego, jest to krótki podręcznik, krępujący autora widocznie swemi szczupłemi ramami. O ile one wszakże pozwoliły, p. W. oprawił w nie obraz pełny, uwydatniwszy główne momenty rozwoju tej sztuki. Co do samej treści, autor objaśnia, że dziełko jego, „poczęte w części podług Reismana i Mareillaca," jest „pracą znacznie w stosunku do oryginałów odmienną." Rzeczywiście, to odchylenie się od wzorów jest duże Cały wykład zawarty został w XVIII rozdziałach, począwszy od pierwocin muzyki i jej form najważniejszych, a skończywszy na utworach najnowszych. Rozdział ostatni poświęcony muzyce polskiej. Jako cechę znamienną tej książki, a wogóle bardzo rzadką, podkreślić należy jej język czysty, staranny, a niekiedy wytworny.

W. Wysocki, *Bocian*, dwie legendy (str. 39) i *Laszka*, poemat (str. 93), Kijów i Odesa, nakładem Koreywy.

Czytelnikom naszym dobrze są znane zarówno te twory, bądź z druku w *Prawdzie*, bądź ze sprawozdań. Piękne legendy o *Bocianie* ukazują się w osobnej książce po raz pierwszy, *Laszka* po raz trzeci! Niewielu naszych poetów ogląda trzecie wydanie swoich utworów. Świadczy to nietylko o talencie, ale o jego żywotności.

Dr. J. Sobierański, *Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach u dzieci* (dla matek).

Autor wybrał 20 wypadków, w których natychmiastowa pomoc jest konieczną, a rady swoje pomieścił na... jednej półarkuszowej stronicy. Niepodobna wyłożyć wskazówek treściwiej. Jest to ich zaletą, ale dlaczego ta jedna stronica kosztuje kop. 15?

C. V. Boys, *Bańki mydlane*, przeł. W. Biernacki, str. 158, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Jest to jedna z najdowcipniejszych i zarazem najpożyteczniejszych książeczek dla młodzieży. Pod tym skromnym tytułem autor wykłada zjawiska włoskowatości zapomocą przyrządów i doświadczeń, które każdy roztropny malec może sam sobie wykonać. Zabawa więc jest tu środkiem do nauczania, a zarazem przyprawia i cukruje gorzkie lub mdłe pigułki, pod których postacią zwykle podajemy dzieciom lekarstwa wiedzy. Do tekstu dodano drzeworyty i tablicę litograficzną.

K. S., *Wskazówki i przepisy dla amatorów-fotografów*, str. 37, Warszawa.

Fotografia przestała już być sztuką tajemniczą, dostępną tylko dla specyalistów. Dzięki uproszczeniu jej sposobów i taniości przyrządów, dziś wielu amatorów nabywa odpowiednie przybory i zajmuje się fotografowaniem dla własnej przyjemności — widoków, osób itd. Właśnie p. S. w książce swojej zebrał wskazówki informujące tych, którzy uczują chęć do takiego amatorstwa.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Konwencya literacka. *Now. wr.* pisze: „Komitet ruskiego Towarzystwa literackiego, uznając potrzebę sprawy zbadania własności literackiej i artystycznej, ze względu na istniejące w tej mierze prawodawstwo ruskie, tudzież z uwagi na warunki przy możliwem zawarciu międzynarodowych konwencyi literackich, postanowił utworzyć specyalną komisyę, któraby wespół z komitetem rozstrzygnęłaby powyższą kwestyę. Do komitetu należą: A. Koni, Wł. Spasowicz, J. Pluszczewski-Pluszczyk, A. Suworin, D. Grygorowicz i W. Awsiejenko. Pierwsze posiedzenie już się odbyło 29 stycznia.

W tym samym przedmiocie z powodu wystąpienia Zoli, zabrał głos prof. Janżuł, który dowodził, że rezultatem umowy byłoby tylko podniesienie ceny książek. Zdaniem p. J., mylnem jest twierdzenie Zoli, iż Francya spożywa tyle książek ruskich co Rosya francuskich. W r. 1890 Rosya wywiozła do Europy i Azyi 294,160 kilogramów książek na sumę 548,000 rs., z tego na Francyę przypadło zaledwie 3,024 kilogr. Wzamian w ciągu tegoż roku Rosya kupiła 54,064 kilogr. książek francuskich. „Zresztą Zola nie zastanowił się, iż konwencya literacka między Francyą a Rosyą nie odniosłaby żadnego skutku, gdyby nie została poparta przez odpowiednie konwencye z większemi państwami europejskiemi. Zamiast tłomaczyć romans Zoli z oryginału francuskiego, dokonywanoby przekładu wedle tłomaczeń niemieckich lub angielskich. Otóż Rosya, dostarczając Niemcom 160,000 kilogramów książek rocznie, otrzymuje z Niemiec 800,000 kilogr. przeważnie dzieł naukowych. Rosya bowiem bawi się we Francyi, a uczy się — w Niemczech. Naród ruski, przystępując do konwencyi literackiej z Francyą, obarczyłby się dobrowolnie podatkiem niepotrzebnym."

— Komitet Towarzystwa sztuk pięknych w Warszawie wkrótce ogłosi konkurs na prace z dziedziny malarstwa (obrazy olejne, akwarele, miniatury, pastele, kartony, rysunki). Przyjmowane będą dzieła, wykonane w ciągu trzech lat ostatnich. Należy najdalej do 15 grudnia r. b złożyć w kancelaryi Towarzystwa deklaracyę w formie listu z wymienieniem treści dzieła, ceny, adresu, wiadomości o miejscu urodzenia i — szkoły, w której artysta kształcił się w malarstwie. Przyjmowane będą prace i tych, którzy zmarli na trzy lata przed otwarciem wystawy konkursowej. Pierwsza nagroda rs. 600, druga 300, trzecia 200. Nadto, przyznawane będą listy pochwalne.

— Lwowskie Towarzystwo prawnicze na uczczenie 25-letniego jubileuszu, wydaje książkę, obejmującą historyę tej instytucyi i szereg artykułów ulotnych z dziedziny prawa.

— P. Damian Rolicz Lieder wydał „Elementarz języka arabskiego." Jest to część pierwsza („Abecadlnik"), obejmująca naukę czytania i pisania tudzież niezbędne wiadomości gramatyki początkowej.

— Towarzystwo ogrodnicze wydało swój rocznik za r. 1893. Oprócz zwykłych sprawozdań o stanie funduszów i działalności sekcyi, znajdujemy tu plan przyszłego ogrodu Bagateli, w którym widzimy uwzględnioną wyłącznie stronę ozdobną.

— *Revue encyclopedique* wychodząca w Paryżu w numerze z 15 grudnia r. 1893 umieściła portret Matejki, dołączając dłuższą notatkę. Autor jej skreśliwszy pokrótce żywot i wyliczywszy najwybitniejsze obrazy malarza przypomina czterokrotnie odznaczenie go (medal 3-ej klasy w r. 1863, 1-ej podczas wystawy powszechnej r. 1862, krzyż legii honorowej w 1870 i medal zaszczytny podczas wystawy w r. 1878) w Paryżu i zaliczenie do grona członków Akademii sztuk pięknych po śmierci Kaulbacha (1873). Kilka słów poświęca „Strojom w Polsce."

Przytaczamy wyjątek streszczający pogląd krytyka na Matejkę:

„Posiadał silę niezwykłą i przymioty talentu w pełni indywidualnego. Był dyrektorem Szkoły sztuk pięknych w Krakowie, gdzie żył czczony i poczytywany za władcę w dziedzinie sztuki, otoczony hołdami wyjątkowymi.

Objawiał wielkie zdolności rysunku i rzucania na scenę olbrzymich płócien tłumów osób. Na nieszczęście koloryt (?) nie dorównywał liniom. Utworom jego brak powietrza, przesiąknięte są atmosferą fioletowo-winną (?), bez czego byłby może największym malarzem historycznym naszego wieku."

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z PARYŻA.

Wielkie przedsięwzięcia.— Reforma praw niewieścich, podniesiona przez panią Chauvin. — Rozmowa z dziennikarzem E. Fremy.

Wynalezienie zajęcia wielkiej liczbie rąk staje się kwestyą pierwszorzędnej doniosłości, warto więc rozejrzeć się, co im obiecuje r. 1894. Czy w roku tym będzie pracy więcej, czy mniej, niż w latach poprzednich? Odpowiedź dają nam główne projektowane we Francyi przedsięwzięcia.

Co do kolei żelaznych, w tym roku Francya sprawi ich mniej, niż lat zeszłych, najwyżej 200 do 300 kilom., podczas gdy zwykle budowano ich rocznie od 800 do 1500 kilom. Możnaby przypuszczać, iż natomiast kapitały prywatne zdobędą się na jakieś jeszcze wielkie przedsiębiorstwo. Otóż, nie obawa bezroboci a przytem sprawa panamska na długi czas obezwładniły kapitał prywatny.

Prace przy kanale między Marną i Ladoną, który pochłonął już 50 milionów franków, przerwane zostały w roku 1888; pieniądze te wydano całkiem nieprodukcyjnie, gdyż kanał niedokończony nie może być w obecnej dobie eksploatowany. Prawdopodobnie więc roboty zostaną niezadługo wznowione z wydatkiem 30 milionów franków.

Wiele bardzo się mówi o sławnym „Kanale dwóch mórz," dla którego zawiązało się osobne towarzystwo prywatne. Chodzi o wydatek przynajmniej 400 milionów franków. Kanał ów przecinałby międzymorze francusko-iberyjskie, na długości 500 kilometrów, od Oceanu w okolicach Bourdeaux aż do morza Śródziemnego w okolicach Cette. Eskadra francuska mogłaby się udawać z jednego morza do drugiego, nie będąc zmuszona przepływać koło Gibraltaru. Kwestya ta zasługuje na dokładne zbadanie, trzeba bowiem zdać sobie dobrze sprawę, czy projekt ten możliwym jest do wykonania z punktu widzenia technicznego; dzisiejsze bowiem wielkie statki powinny zanurzać się przynajmniej na 9 metrów.

Projekt uczynienia z Paryża miasta portowego żyje przeszło od 9-ciu lat, był cztery razy przedstawiany Izbie i życzliwie przyjmowany. Senat zachowuje się względem niego przychylnie. Specyalne towarzystwo zaproponowało państwu wykonanie prac własnym kosztem bez zapomogi rządowej. Można zatem spodziewać się, iż niezadługo roboty zostaną rozpoczęte. Naturalnie, niema mowy o tem, aby morze sprowadzić do Paryża, jak myślą niektórzy naiwni, lecz tylko wybudować kanał dla większych statków (najwyżej wszakże o 3,000 tonnach) między Paryżem a Rouen, posiadający 185 kilometrów długości. 35 metrów szerokości i 6½ m. głębokości. Wydatek wyniósłby parę setek milionów franków. Ponieważ Paryż nie posiada dostatecznej ilości wody do picia, od czasu do czasu sprowadza sobie nowe źródła; w tym roku miasto wyda 50 milionów franków na sprowadzenie źródeł Loing i Lunain, położonych w okolicach Nemours Berger, dyrektor powszechnej wystawy paryskiej 1889 roku, proponuje ściągnięcie do Paryża wody z jeziora Genewskiego, zaczerpniętej od strony Francyi. Kosztowałoby to 500 milionów franków (licząc 750 milionów metrów kubicznych wody rocznie). Prócz tego, miasto zaciągnęło pożyczkę kilkudziesięciu milionów dla dokończenia ścieków. Po dołączeniu 250 kilometrów nowych do istniejących już 900, pod całym Paryżem urządzoną zostanie sieć kanałów podziemnych, gdzie wyrzucać się będą i wylewać wszelkie odpadki stałe i płynne oraz błoto uliczne; wszystko to będzie wprawiane w ruch potokiem wody. Przytem buduje się obecnie kolej podziemna. Wiele też pozostaje do zrobienia dla komunikacyi w Paryżu: urządzenie nowych linij tramwajowych, wprowadzenie nowych tramwajów elektrycznych, parowych. Z tego przeglądu widzimy, iż pomimo ogólnego zastoju i ubóstwa budżetu francuskiego, będzie wiele pracy.

Projekt, a raczej projekty połączenia Francyi z Anglią, nie przestają również zaciekawiać, aczkolwiek stanowczo dotychczas nie zostały rozstrzygnięte. Już w r. 1802 inżenier Mathieu proponował zbudowanie podziemnego tunelu między Anglią i Francyą pod cieśniną Kaletańską. Niedawno pp. Hersent i Schneider zalecali

wzniesienie olbrzymiego mostu między dwoma brzegami. Myśl ta nie jest łatwa do urzeczywistnienia; przedewszystkiem olbrzymie koszty, obliczone na miliard franków; prócz tego opór ze strony żeglarzy, gdyż most wytworzyłby całą grupę małych wysepek, czyli istny archipelag na kanale La-Manche. W ostatnich czasach sir Edward Reed, członek parlamentu angielskiego, główny inżenier admiralicyi, wystąpił z propozycyą połączenia brzegów olbrzymią metalową rurą (lub kilku rurami), przez którą mogłaby przechodzić kolej żelazna. Rura ta byłaby zanurzona w wodzie niedaleko dna i tym sposobem zabezpieczona od ruchu powierzchni, prądów i okrętów. Propozycya ta, poparta obliczeniami i szczegółami wykonania, zyskała poklask wśród członków parlamentu i poważne są dane, że będzie ostatecznie zdebydowaną.

Z pomiędzy reform, których domagają się najusilniej kobiety francuskie, dwa projekty, uznane za najważniejsze, opracowane zostały przez p. Joannę Chauvin, doktorkę i profesorkę prawa w liceach żeńskich w Paryżu. Chodzi o to, aby kobieta zamężna mogła rozporządzać pieniędzmi, zdobytemi własną pracą i miała prawo być świadkiem w sprawach prywatnych lub publicznych. Umiarkowane te żądania zostaną zapewne uwzględnione przez senat, który kilka dni temu przyjął ustawę, pozwalającą kobietom występować w roli wyborczyń do trybunałów handlowych. Jeden z dziennikarzy francuskich miał rozmowę z młodą doktorką prawa.

— Jakto, pytasz mnie pan, dlaczego pragnęłabym, aby kobiety mogły rozporządzać własnemi pieniędzmi? Ależ to kwestya moralności publicznej! Prawo to bowiem stosowałoby się głównie do kobiet z ludu, które wyszły za mąż bez intercyzy. Przed zamążpójściem kobieta ma możność zrobienia kontraktu, zabezpieczającego jej mienie, lecz kontrakt sam przez się jest rzeczą kosztowną. Rzuć pan natomiast okiem na kobiety z klasy robotniczej, zmuszone pracować na współkę z mężem dla utrzymania rodziny i wychowania dzieci. Czy podobna, aby w kraju demokratycznym, jakim jest Francya, odmawiano robotnicy, szwaczce, praczce, służącej tych praw, które przyznane już zostały kobiecie bogatej? Wszakże wiemy dobrze, jak się dzieje zwykle. Mąż zarobione pieniądze często traci na hulanki i bez żadnego skrupułu udaje się do „patrona“ żony, prosząc o zarobione przez nią pieniądze. Nieszczęsna żona nie ma prawa protestowania. Mąż jest jedynym administratorem.

— Ale w takim razie kobieta może żądać podziału dochodów.

— Zapewne, ale proces trwa zwykle tak długo, iż tylko bogata może się zdecydować na ten krok.

— To niech kobieta złoży pieniądze swe w kasie oszczędności.

— Zapewne! Aby złożyć pieniądze w kasie oszczędności, trzeba wpierw mieć je w ręku. Otóż mąż ma prawo je zagarnąć i rozporządzać niemi, jak zechce. Dodam, iż nietylko stowarzyszenie kobiet l'Avant-Courrière żąda tej reformy, lecz i paryska Szkoła prawa nadzwyczaj przychylnie zapatruje się na wzmiankowaną zmianę Kodeksu. Co zaś do drugiego projektu, czyż to doprawdy nie śmieszne, że kobieta jako świadek przed sądem w sprawach kryminalnych lub cywilnych zrównana jest z mężczyzną, podczas gdy nie może świadczyć w innych wypadkach życia prywatnego lub publicznego.

Wychodząc, dziennikarz zadaje jeszcze jedno pytanie:

— Jakże idzie kurs prawa w liceach?

— Doskonale. Uczenice moje słuchają wykładów z uwagą i zainteresowaniem godnem pochwały.

— Na cóż kobiecie przyda się wykład prawa?

— Znakomity pan jesteś. Ależ kobieta powinna wiedzieć, jak ma postąpić w rozmaitych okolicznościach życiowych, gdy np. trudni się przemysłem lub gdy owdowieje i opiekuje się dziećmi. Mój wykład nie porusza wcale subtelności nauki prawa i chciałam tylko moim uczenicom, młodym osobom od lat 17 do 20, udzielić wiadomości pożytecznych, dość ogólnych, aby były dobrze zrozumiane i dość ścisłych, aby mogły stać się pożytecznemi w życiu. Mówię więc im o ekonomii domowej, o prawach matki, o administracyi opiekunki, o hypotekach i wielu innych rzeczach. Czy wątpi pan jeszcze o pożytku wykładów prawa dla panien?

Dziennikarz uznaje się za przekonanego.

Na zakończenie słówko wspomnienia pośmiertnego. Dnia 2 lutego r. b. Francya straciła znakomitego chemika, Edmunda Fremy'ego, byłego dyrektora i profesora Muzeum historyi naturalnej.

Jego badania nad drogimi metalami, nad ozonem, kobaltem, fluorem, chromem, a w chemii organicznej prace nad kwasami, żywicami, gumami, ciałami białkowatemi, tkankami roślinnemi, mają wybitne miejsce w nauce. Przyczynił się też wielce do postępów chemii przemysłowej; fabrykacya sody, kwasu siarczanego, nawozów sztucznych, wytwarzanie szkła i stali, zawdzięczają mu wiele ulepszeń. W ostatnich czasach pracował nad sztucznem wyrabianiem rubinów. Fremy był autorem znakomitego podręcznika chemii i encyklopedyi chemicznej; z jego szkoły wyszli pierwszorzędni chemicy francuzcy.

J. Jot.

LIBERUM VETO.

Bezimienność w prasie i jej pożytki. — Szkodliwy wpływ na literaturę. — Dziennikarstwo niemieckie i jego oddziaływanie. — Nasi redaktorzy i ich ciężkie roboty. — Skarga jednego z nich. — Myśl wydania błagalnej odezwy. — Skromne wymagania proszących. Przybliżony obrachunek.

Dopóki ludzie pozostają względem siebie w stosunkach zależności, dopóty bezimienność literacko-dziennikarska jest nietylko usprawiedliwiona, ale nawet konieczna. Daje ona im bowiem swobodę sądu, której by bez niej nie mieli i musieliby albo milczeć, albo grzeszyć i szkodzić kłamstwem. Wyobraźmy sobie oficyalistę jakiejś fabryki, ktory widzi w niej nadużycia i chce o nich zawiadomić ogół; czy może to uczynić z odkrytem nazwiskiem? Może, ale nazajutrz wyleci jak z procy na bruk. Podobnych zaś stosunków i położeń jest nieskończone mnóstwo. To też prasa wszystkich krajów ucywilizowanych, zarówno w interesie własnym, jak publicznym, przyjęła zasadę bezimienności, która jej pozwala otrzymywać materyał niefałszowany obawą a społeczeństwom głębiej zaglądać w życie. Wyjątek od tej reguły stanowi poniekąd Francya, gdzie Napoleon III wprowadził przymusowy zwyczaj podpisywania wszystkich artykułów i gdzie obecnie odpowiedzialność za mylne lub potwarcze twierdzenia jest bardzo słaba. I tam wszakże anonim uprawnił się we wszystkich wypadkach drażliwej natury. Rzec można, że jest on dziś główną podstawą dziennikarstwa, które usiluje wszystko przeniknąć, wszystko na słońce wystawić, wszystko tajemnicy wykraść. Wiemy, jak wielką ma dla niego wagę zdradzenie sekretów politycznych, które, rozumie się, jest możliwe tylko przy bezimienności.

Ale nie zaprzeczając jej niewątpliwych zasług i pożytków, musimy równocześnie przyznać, że o ile zapewnia korzyści życiu społecznemu, o tyle gubi literaturę. Z jednej bowiem strony przeszkadza wyrabianiu się indywidualizmów pisarskich, z drugiej — sprzyja zaniedbywaniu się autorów. Jest to faktem niezaprzeczonym, że ludzie chcą ukazywać tylko swe wdzięki i siłę, a ukrywać brzydotę i słabość. Nawet zniewagę, wyrządzoną im bezimiennie, puszczają mimo uszu. Kto wysłuchałby spokojnie i bez urazy tych wszystkich żartów, szyderstw i słów gorzkiej prawdy, za które wcale nie obrażamy się na maskaradzie? Moja maseczko — mówi swawolny młodzian do przyzwoitej kobiety — jesteś tak chuda, że mogłabyś się ścigać... A ona się śmieje z tego konceptu. Tymczasem gdyby jej powiedział w salonie: — Pani jest zbyt lekka... pokazałaby mu drzwi. Najwytworniejsi eleganci, znalazłszy się za granicą, gdzie ich nikt nie zna, chodzą w zabłoconych ubraniach, których natychmiast się wstydzą, spotkawszy kogoś znajomego. Otóż taką samą różnicę dbałości dostrzegamy w literaturze. Autorowie występujący pod własnem nazwiskiem objawiają mniejszą lub większą staranność, podczas gdy bezimienni często lekceważą ją sobie zupełnie. Co ich to obchodzi, że tam ktoś wstrząśnie się na ich robotę niedbałą? Nagana nie dotyczy ich, lecz jakichś X-ów. Oni nie potrzebują wcale liczyć się z czytelnikami, lecz tylko z wydawcami i redaktorami. Jeśli ci ostatni ową robotę przyjmą — sprawa skończona; niech się kłopoczą nad przystrojeniem jej według wymagań literackiej przyzwoitości. Zwłaszcza ci dziennikarze, którzy pod artykułami nigdy nie kładą swych nazwisk, tylko co najwyżej jakieś umówione znaki, zrozumiałe dla administracyi i potrzebne przy obliczaniu honorariów, nie dbają wcale o to, jak się ich referaty wydadzą czytelnikom. Jan Piskorz lub Stefan Zamróz mogą mieć ambicye autorskie; ale jakie mieć mogą §, ?, (!) i tym podobne znaki? Wszystko jedno, jak się nabazgrze, aby tylko wydawca był zadowolony, a raczej — zapłacił. Chociaż na to składają się zapewne inne jeszcze przyczyny, ale i ta sprawia, że np. polityczna prasa niemiecka, najrzadziej posługująca się nazwiskami, doprowadziła niedbalstwo formy do wysokiego stopnia. Spróbujcie jakiś jej artykuł przetłomaczyć dosłownie a starannie, przekonacie się po kilku wierszach, że macie wypracowanie najlichszego biuralisty. Jeżeli mowa o Caprivim, to każde prawie zdanie zaczynać się będzie od wyrazu *Caprivi*, okresy ciągną się z pod pióra jak długie pasma gęstej mazi, jak różańce komunałów, jak wielołokciowe tasiemce, których głowę od ogona oddziela mnóstwo pierścieni spowszedniałych i znanych. Ani jednego niezwyczajnego słowa, ani jednego świeżego zwrotu. „Hr. Caprivi odsunął od siebie podejrzenie, że on, hr. Caprivi, sprzyja liberałom, gdyż hr. Caprivi twierdzi, że on, hr. Caprivi“ itd. Prasa przejęła nie język utworów klasycznych, nawet nie język warstw oświeconych, ale tłumu, niewrażliwego na kunszt pisarski, niedbającego o artyzm naczynia, w którem mu podają codzienną strawę, zadawalającego się najzwyczajniejszą paplaniną. Wyraża się ona tak, jak filistrzy najpośledniejszego gatunku, sklepikarze lub kelnerzy. Pomału inteligentny ogół, który w pismach peryodycznych widział dawniej literaturę gorszego rodzaju, ale zawsze literaturę, przyzwyczaił się do gwary, niemającej nic wspólnego ze sztuką i wytwornością. Dziś gada się publicznie tak, jak ślina spływa, chodzi o to tylko, czy Bismark przyjedzie do Berlina lub nie przyjedzie, czy Crispi obejmie rządy, czy nie obejmie — a jak nowina będzie wyrażona — mniejsza.

Chociaż ta niechlujność formy dziennikarskiej zapanowała nietylko w Niem-

czech, tam jest może ona największa, a dla nas najszkodliwsza. Codzienna bowiem prasa nasza — a ta ma najwięcej czytelników — posiłkuje się przeważnie niemiecką. Dzienniki berlińskie najprędzej do nas przychodzą, najszerzej ogarniają widownię wypadków i najwięcej mają punktów stycznych z przedmiotami naszej uwagi. Czerpiąc z tych źródeł, przeprowadzamy również ich męty, tj. piszemy tak niedbale, jak nasi nauczyciele. Przed 30 laty, kiedy jeszcze dbaliśmy o wdzięk i poprawność słowa publicznego, żadne pismo nie przepuściłoby takiego wyrażenia: „W tych dniach *sąd* przysięgłych *sądzić* będzie sprawę, w której *podsądni* należą do wyższych kół towarzyskich. *Rozchodzi się* o to, że jeden z *podsądnych* dawniej już *osądzony* za rozmaite *konflikty* z kodeksem“ itd. Ta okropność była wydrukowana w korespondencyi z Berlina jednego z dzienników warszawskich. Chociaż wstyd wyznać nie pozwala, ale sprawiedliwość wyznać każe, iż starsi literaci nasi piszą daleko lepiej, niż młodsi. Pierwsi mogą mieć mniej wiedzy, a więcej błyskotliwej frazeologii, ale ich język nie jest nigdy niechlujem. Wyglądają oni jak zawsze strojni dworacy wobec myślących i energicznych, ale zaniedbanych prostaków. Najbardziej w tym względzie grzeszy prasa codzienna (zwłaszcza od siedmiu boleści sprawozdawcy polityczni), ale chwast rozrósł się bujnie również po tygodnikach. Rzadkim jest artykuł medyczny lub przyrodniczy, któryby można przeczytać bez obrzydzenia, bo co tylko nieudolność i niedbalstwo wprowadziły do naszej mowy, wszystko tam znaleźć można.

Czy jest w Warszawie 10 pism peryodycznych, używających już nie wytwornego, ale starannego języka? Wątpię. Przypuśćmy wszakże, iż tyle z pewną pobłażliwością naliczyć można; jakimże środkiem te redakcye osiągają pomyślny rezultat? Mają dobrych współpracowników. Lecz samo to nie wystarcza. Redaktorowie i ich pomocnicy całymi dniami heblują i szlifują artykuły. Jest to praca bardzo ciężka, bardzo bezpłodna i bardzo u nas rozpowszechniona. Gdzieindziej redaktor lub zawiadowca pisma zajmuje się głównie doborem materyału literackiego, pilnowaniem steru, werbunkiem sił pożądanych, upatrywaniem spraw i przedmiotów ważnych, u nas jest on głównie korektorem. Poprawia, poprawia, poprawia i poprawia... rękopisy. Jest to nieszczęśliwy potępieniec, skazany zwykle na dożywotnie ciężkie roboty. Niedawno jeden z nich mówił do mnie:

— Wierz mi pan, że nieraz wolałbym tłuc kamienie na szosie i czułbym mniejsze wstrząśnienie mózgu. Gdy dwie lub trzy godziny siedzę nad rękopisem, ażeby go uczynić możliwym do druku, ogarnia mnie rozpacz. Pomijam reporterów, którzy nie widzieli nigdy gramatyki, ale często literatom zawodowym zdaje się, że z równem zaniedbaniem można pisać listy do teraźniejszości lub przyszłości, jak do krawca lub stolarza. Jeden z nich np. wyobraził sobie, że jeśli rzeczownik od przymiotnika oddzieli długim szeregiem wyrazów, to osiągnie najwyższy efekt stylistyczny. Przed chwilą zniszczyłem takie jego arcydzieło: „To mi przypomina *pewnego* z czasów mojej młodości, którą spędziłem częścią w Tatrach, częścią nad morzem, a częścią w szarych murach miasta, *człowieka.*“ I tak wszystkie zdania—na złość gramatyce. Kiedy my się doczekamy jakiegoś zmiłowania?

Albo ja wiem! Skoro wszakże żyjemy w epoce protestów przeciw wyzyskowi, więc należy się skarżyć. Podobno śród najbardziej uciemiężonych redaktorów warszawskich kiełkuje myśl wydania odezwy do wszystkich piszących z błagalną prośbą o miłosierdzie. Nie myślą ci biedacy żądać wielkich rzeczy, tylko łaskawego uwzględnienia najelementarniejszych prawideł gramatyki i stylistyki. Mianowicie: 1) ażeby przymiotnik stał przy swoim rzeczowniku i nie budził wątpliwości, do którego się odnosi; 2) ażeby niepożądane rymy, jak *ania-ania, ości-ości* były przynajmniej z prozy usunięte; 3) ażeby ten sam wyraz nie powtarzał się ciągle w tych samych zdaniach i w sąsiednich (jedna z najokrutniejszych tortur!); 4) ażeby wyrazy cudzoziemskie, jak: konflikt, nonszalancya, mizanscena, premiera, stypulacya i inne nie roiły się zbyt gęsto; 5) ażeby unikano nowotworów, jak: duszpasterz, światopogląd, miarodajny i in., które nie zgadzają się z duchem naszego języka; 6) ażeby w jednym okresie nie było kilku zdań, połączonych z sobą zaimkiem *który*: 7) ażeby ów nieszczęśliwy zaimek nie stał jako dopełnienie po wielu wyrazach (np. obywatel, w rozległych, dziedzicznych dobrach na Kaukazie którego...). Zgodzicie się chyba czytelnicy na to, że nie trzeba być ani Śniadeckim, ani Słowackim, ani nawet Osińskim lub Kremerem, żeby zadośćuczynić tym skromnym warunkom. A przecież o to tylko proszą uciemiężeni poprawiacze — redaktorzy. Doprawdy nie znam skromniejszego marzenia w literaturze, a zarazem słuszniejszego. Gdyby tylko każdemu z tych szlifierzów oszczędzono trzy godziny dziennie, miałby on przeszło 1,000 godzin czasu rocznie, który mógłby użyć albo na odpoczynek, albo na pracę pożyteczniejszą, niż poprawianie niedbałych rękopisów. Więc wzruszcie się kamienne serca!

Mam niepłonną nadzieję, że jeśli mój głos dojdzie do tych serc, z pewnością nie osiągnie żadnego skutku. Weszliśmy w okres fuszerki pisarskiej i brnąć będziemy dalej.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Miastu przybywa jeszcze jeden związek fachowców, Towarzystwo wzajemnej pomocy majstrów fabrycznych, których ustawa, zatwierdzona już 25 listopada r. z., jest wzorowana na stowarzyszeniu pracowników handlowych, ze zmianą niektórych punktów. Do tej grupy należą majstrowie fabryk tkackich, przędzalnianych, farbierni i wykończalni. Zasadniczym ich celem jest: wydawanie członkom rzeczywistym zapomóg bezzwrotnych lub pożyczek, wyszukiwanie pracy, pomoc w chorobie i — chowanie zmarłych niezamożnych. Środki powstają z jednorazowych i stałych opłat uczestników, 2% od kapitałów Towarzystwa, umieszczanych w papierach państwowych itd: W chwili gdy kapitał obrotowy dosięgnie 1000 rs, połowa jego przelewa się na zasobowy. Do związku należeć mogą tylko poddani ruscy. Członkowie dzielą się na trzy kategorye: rzeczywistych, protektorów i honorowych. Do pierwszej należeć mogą majstrowie najmłodsi 17-letni i najstarsi 50-letni. do drugiej właściciele i wspólnicy zakładów przemysłowych, do trzeciej — wybierani przez zebranie ogólne ludzie z różnych zawodów. Zaliczeni są do honorowych także lekarze i aptekarze, ujewniający gotowość niesienia pomocy zdrowotnej bezinteresownie. Prawo do zapomóg mają członkowie rzeczywiści, należący do stowarzyszenia nie krócej, niż trzy miesiące. Inne szczegóły ustawy opaszczamy, gdyż przypominają one typ znanych tego rodzaju stowarzyszeń.

Obok związków fachowców, organizacya filantropijna w Łodzi ześrodkowała się w kilku instytucyach. Pierwsze miejsce zajmuje chrześciańskie Towarzystwo dobroczynności, istniejące od r. 1877. Pod zwierzchnictwem jego pozostaje pięć innych ognisk miłosierdzia publicznego: dom przytułku dla starców i kalek, ochrona katolicka, przytułek dla ubogich położnic, komitet kolonij letnich i kuchnie tanie. Miasto o wielotysięcznej ludności fabrycznej, co rok daje pewien dość znaczny procent tych, którzy w gorączce wytwarzania siły swe wyczerpali lub padli ofiarą t. zw. „własnej nieostrożności.“ O niedołęgach tych najpierw dobroczynność pomyślała i w swym przytułku utrzymuje w chwili obecnej około 80 osób. Zapewne to tylko cząstka inwalidów przemysłu. Nad wszystkimi organizacya filantropijna opieki swej rozciągnąć nie może, pomimo dobrych chęci. Potroszę rozdzieliła ona swe zabiegi na łagodzenie innych wyników podkładu produkcyi. Przytułek położniczy czuwa nad ubogiemi robotnicami, ochronka wychowuje ich dzieci, a kolonie letnie na kilka tygodni z kurzu, dymu, zaduchu i ciasnoty miejskiej wywożą je na świeże powietrze i strawę zdrową. Pierwszy istnieje od r. 1891, prócz personelu służbowego posiada własną akuszerkę i lekarza. W drugim roku było tam chorych kobiet 53. Ochronka, założona 1889 r. o bardzo skromnych środkach materyalnych, przy pomocy kobiet z „towarzystwa,“ rozwija się stale i dziś posiada już fundusz przeszło 4,500 rs. Z instytucyi tej korzysta 250 dzieci, otrzymujących bezpłatnie naukę, pożywienie, a czasem i odzież. W roku zeszłym ochronka własnym kosztem wysłała do Ciechocinka 15 dzieci na kuracyę pod opieką dwóch dozorczyń; zarząd zakładu kąpielowego i koleje żelazne przyszły tym razem z bezinteresowną pomocą. Kolonie letnie, urzędowo zatwierdzone dopiero od czerwca r. z., odrazu rozwinęły swą działalność wedle sił i środków. W czterech partyach wysłano ogółem 100 dzieci do dwóch miejscowości (w pow. brzezińskim i łaskim), gdzie właściciele ofiarowali nietylko wygodne pomieszczenie, ale nawet przyjęli na się utrzymanie. Jest to dopiero początek bardzo skromny w stosunku do ludności Łodzi. Środkiem, obliczonym na łagodzenie nędzy są kuchnie tanie, chrześciańskie i żydowskie, popierane przez możnych. Oprócz chrześciańskiej, rozwinęła się organizacya dobroczynna żydowska, która również posiada dom dla starców, ochronkę dla dzieci i kolonie letnie. Do szeregu urządzeń filantropijnych należy jeszcze ambulatoryum bezpłatne, powstałe 1890 r. przy współdziałaniu i poparciu Towarzystwa lekarskiego. Udziela ono porad darmo i lekarstw bądź bezpłatnie, bądź po cenach zniżonych w stosunku 30—50%. Zakład ten jest obsługiwany przez 30 lekarzy i jednego felczera. W ciągu r. z. z porady korzystało 12,106 osób, lekarstw zaś wydano bezpłatnie na 6,735 recept. Jeszcze jedną gałąź działań już nie filantropijnych, lecz „filanimalnych,“ stanowi opieka nad zwierzętami.

Przed paru tygodniami pisząc o strażach ogniowych prowincyonalnych, pominęliśmy łódzką, która w tego rodzaju organizacyach wybitne miejsce zajmuje. Istnieje ona od r. 1876 i stale się rozwija. Przed ośmiu laty liczyła cztery oddziały, obecnie ma ich sześć. Piąty powstał z osobnej straży, utworzonej w r. 1885 przez Towarzystwo akcyjne zakładów bawełnianych H. Scheiblera; szósty zorganizowany w pięć lat potem przez Towarzystwo akcyjne J. K. Poznańskiego. Według ostatniego sprawozdania, straż łódzka liczyła ogółem 1,074 członków (w tem 478 opłaca po 3 rs. składki, 596 — mniej). Czynnych jest 723.

Obok związków społecznych i dobroczynnych, kwitnie życie sportowe. Łódź ma własny klub cyklistów, klub strzelecki, „Lutnię“ i niemieckie Towarzystwo śpiewackie. Nie poprzestając na tym ruchu, dającym się na trzy odłamy podzielić, mieszkańcy łódzcy, na wzór Warszawy, myślą o założeniu przytułku noclegowego, domu podrzutków i czytelni bezpłatnej. Te trzy nowe ogniska rozdmuchane będą przez skrzydła dobroczynności. *Dr.*

Żytomierz. Oficyaliści ks. Sanguszki i hr. Potockiego poczynili starania o utworzenie w Zasławiu gimnazyum klasycznego, które jest wielce pożądane dla całej ludności okolicznej, złożonej z pracowników wiejskich. Posyłanie dzieci do Żytomierza lub Równa jest dla nich bardzo uciążliwe i kosztowne. Otóż według zapewnień *Żizni i Iskustwa*, pracownicy powyższych dwóch właścicieli złożyli kapitał odpowiedni na zakład naukowy. — Skutkiem starań hr.

Józefa Potockiego, właściciela dóbr pomiędzy Szepietówką a Starokonstantynowem, obie te miejscowości połączone będą koleją dojazdową. Szepietówka jest stacyą kolejową jednej z głównych linij Południowo - Zachodnich (Kijów-Brześć-Prostki). Nowa więc arterya, a raczej żyłka komunikacyjna, ożywiłaby drzemiącą i obfitą w bogactwa naturalne okolicę.

Grodno. Utworzone niedawno Towarzystwo budowy dróg pomocniczych, działalność swoją w praktyce już zaznacza. Na wiosnę przystępuje do budowy dwóch linij w pow. prużańskim i kobryńskim. Pierwsza, 12 wiorst długości, połączy stacyę kolei Moskiewsko-Brzeskiej, Liniewo, z miastem powiatowem Prużanami, druga—stacyę Tewle tej samej kolei z Kobryniem, stacyą drogi Poleskiej na przestrzeni 20 wiorst. Obie linie będą szerokotorowe, zastosowane do kolei ościennych. W dalszym planie jest bezpośrednie połączenie Słonima z Grodnem na przestrzeni 60 wiorst. Pomimo że Słonim ma komunikacyę kolejową, jednakże z powodu linij łamanych wyrzeka się jej często i woli podtrzymywać stosunki z miastem gubernialnem za pośrednictwem furmanek. O postanowieniu budowy nowych dróg podjazdowych zapewnia *Gazeta polska*.

Mińsk. Jeszcze w grudniu r. z. na zebraniu miejscowego Towarzystwa rolniczego poruszono sprawę leśną, a raczej ponowiono ją i stwierdzono, że specyalna komisya odbyła tylko jedno posiedzenie bez żadnego rezultatu. Chodzi głównie o usunięcie monopolu spekulantów w handlu drzewnym. Aferzyści tego rodzaju korzystają z nigdy niegasnącej potrzeby gotówki śród ziemian i zakupują las „na oko,“ bez żadnej taksy, najczęściej za bezcen. Nadto, czynią oni zmowy dla podwyżki ceny drzewa opałowego, którego wartość w Mińsku, pomimo obfitych jeszcze lasów, równa się z cenami warszawskiemi. Ażeby usunąć szkodliwe pośrednictwo, właściciele powinniby sami zająć się sprzedażą materyałów leśnych.

Kijów. Przemysłowiec, p. Brodzki, ofiarował znaczną sumę na założenie Banku rzemieślniczego. Obecnie wybrana przez zarząd miejski komisya opracowała już ustawę tej instytucyi. Oto osnowa: Rzemieślnicy, życzący otrzymać zapomogę dla zakupu narzędzi i warsztatów, powinni składać podania w Banku, który dokładnie ocenia wartość przedmiotów potrzebnych dla nabycia. Zasiłek będzie wydawany bądź w stosunku całkowitej wartości narzędzi, bądź tylko w części. W tym ostatnim wypadku rzemieślnik powinien wnieść do instytucyi kredytowej brakującą sumę, Bank zaś sam nabywa narzędzia, przyczem rzemieślnik wydaje pokwitowanie z zaznaczeniem, że przedmiot mu wydany należy do Banku i powinien być szanowany. Aż do chwili zupełnej spłaty należności rzemieślnik nie ma prawa sprzedawać lub zastawiać narzędzi, za pośrednictwem Banku nabytych.

Moskwa. W miejscowem Towarzystwie rolniczem roztrząsano sprawę znaczenia i celu stowarzyszeń rolniczo-wiejskich. Specyalna komisya w tym przedmiocie przyszła do następnych wniosków: 1) Powodzenie gospodarki wiejskiej zależne jest obecnie w zupełności od energii, wiedzy i zalet osobistych samych gospodarzy, popieranych odpowiednią organizacyą i pomocą. 2) Popieranie prywatnej inicyatywy rolników pod względem materyalnym, może wypływać ze strony rządu, w zakresie zaś spraw technicznych — ze strony odpowiednich organizacyj gospodarczych. 3) Pomoc rządowa powinna działać w sprawach ogólnych, przekraczających siły zarówno jednostek, jak i stowarzyszeń odpowiednich. Wogóle zaś wszelkie potrzeby powinni wyrażać jasno sami rolnicy. Towarzystwa centralne, mające charakter ogólno-państwowy, powinny się zajmować sprawami praktyczno-naukowemi, nadto — konieczne są przy nich stosowne instytucye: szkoły gospodarcze, pola doświadczalne, stacye itd. — P. Najdenow, przedstawiciel moskiewskiego komitetu giełdowego, tudzież kilku kupców miejscowych, otrzymali pozwolenie ministeryalne na urządzenie w r. 1895 wystawy syberyjskiej. W program jej wejdą działy: naukowy — flora i fauna północna, mineralogia, geologia, botanika, zoologia, meteorologia, geografia, historya i statystyka, antropologia i etnografia, gleboznawstwo i przemysł wiejski, ogrodnictwo, leśnictwo, górnictwo, hodowla zwierząt, myśliwstwo i rybołówstwo. Inne oddziały obejmą przemysł i rzemiosła, tudzież okazy sąsiednich krajów: Mongolii, Mandżuryi, Chin, Japonii, Korei.

SPRAWY EKONOMICZNE.

W SEKCYI ROLNEJ.

Drogi kołowe. — Delegacya i nowe przepisy. — Analiza ziemi naszej za granicą. — Projekt własnego laboratoryum. — Odczyt p. Dzierzbickiego. — Parcelacya.

Sprawozdanie delegacyi drogowej, odczytane w ubiegły poniedziałek na posiedzeniu sekcyi rolnej, zarysowało smutny stan komunikacyi kołowej w Królestwie Polskiem, głównie zaś dotknęło strony nadzoru i budowy tych dróg. Dziwna rzecz, sprawa pierwszorzędnego znaczenia dla ziemian, tak się wlecze powoli i ospale, jak wóz ładowny na gościńcu błotnistym. Interesowani, którym dokuczyło łamanie kół i osi, męczenie koni, strata czasu, na długą uciążliwą jazdę, poruczyli ten przedmiot do pchnięcia na przód „ciału zbiorowemu,“ z nadzieją pomyślnego obrotu. I oto bryka, wyładowana ciężarem referatowym, utknęła na drodze, a chaboty (przepraszam — członkowie delegacyi) zaczęły się rwać w przeciwne strony i — uprząż przyjętego obowiązku pękła. Miejsce więc dawnego zaprzęgu delegacyjnego zajmie nowy dla przebycia reszty drogi, na której połowie ciało zbiorowe „dęba stanęło.“

Zobaczmy, jak wygląda stan połączeń kołowych. Dzielą się one na trzy kategorye: drogi gubernialne (przechodzące przez całe gubernie) „pierwszego rzędu,“ powiatowe (przecinające powiaty) drugorzędne i wiejskie tudzież polne. Pierwsze są pod dozorem władzy gubernialnej, drugie— powiatowej i burmistrzów, trzecie — właścicieli ziemskich pod okiem wójtów gmin. Lepiej utrzymane i mające nadzór sprężystszy, w ogólnej liczbie stanowią najmniejszą cząstkę, drogi bowiem szosowe wynoszą zaledwie 4½ tysięcy wiorst, dalej idą powiatowe 19,054 wiorsty i najliczniejsze — wiejskie tudzież polne 80,000 wiorst. Ogółem Królestwo Polskie posiada 100,000 dróg gruntowych, w tem zaledwie 4½ tys. szosowanych. Jeżeliby przy najlepszych usiłowaniach liczbę tych ostatnich podwoić, to i wtedy stanowiłyby one zaledwie 9% całej masy, pozostałoby zaś prawie bez dozoru, licho utrzymanych 91%. Koszt budowy i utrzymania mniej więcej tak się przedstawia. Według obliczeń p. Korzybskiego, zbudowanie jednej wiorsty szosowej kosztuje 3,660 rs. Zdaniem referenta, jest to cena wyjątkowo nizka, którą można było osiągnąć dzięki tylko temu, że pomoc swą ofiarowały w wielu wypadkach fabryki i zakłady przemysłowe, dogodną komunikacyą zainteresowane. Drogi pierwszorzędne pochłaniają na utrzymanie przeszło milion rs. rocznie. Fundusze zaś na ten cel powstają z opłat właścicieli ziemskich w stosunku 15% od podatku gruntowego i podymnego 10% od patentów akcyzowych i tyleż od handlowych. Do 19 czerwca 1870 r. istniały tak zwane komitety obywatelskie. Po zniesieniu tej organizacyi, ziemianie są zapraszani tylko w charakterze doradców, w razie, jeżeli naczelnik powiatu uznaje to za potrzebne. Wyjątkowo niedawno w okresie głodowym komitety obywatelskie znowu były czynne.

Wychodząc z tego punktu, delegacya, a raczej jeden z jej członków, p. Ujazdowski, powołuje się na to, iż inicyatywa prywatna przychylnie jest przez władze rządowe widziana, więc należy czynić starania, aby komunikacyę w możliwie najkrótszym czasie podnieść przy współdziałaniu prywatnem. Drogi są bowiem w opłakanym stanie (dwie niższe kategorye), podczas gdy stosunki przemysłowo-handlowe coraz bardziej się rozwijają i coraz dotkliwiej czują niedogodności. Na 2,000 wiorst kolei żelaznych mamy zaledwie 6,000 w. dróg bitych. Wobec tego p. U. radzi czynić starania o ulgi i pomoc kredytową dla udogodnień komunikacyjnych. Pożyczkę następnie można byłoby spłacać z przywróconego myta drogowego. Między innemi podaje wniosek ułatwień dla przedsiębiorców prywatnych, którzy zechcieliby budować drogi na własne ryzyko. Inni członkowie delegacyi zarzucają projektowi niejasność, sami zaś wcale sprawy nie wyjaśniają. Jeszcze bardziej zarysy całej kwestyi się zaciemniły przy sporach i wzajemnych zarzutach. P. Szwejcer, jak zwykle gorący mówca i często — żywy oponent, twierdzi, że dotychczas przy budowie dróg tuczą się inżenierzy i przedsiębiorcy prywatni, że roboty sposobem administracyjnym najprędzej doprowadziłyby do pożądanego celu. Jest w tem dużo racyi. Spekulacya bowiem w tym zakresie przy pozornem ożywieniu, dającem zarobek, sprowadza najfatalniejsze skutki; drogi zbudowane pośpiesznie niedbale, są nietrwałe i w rezultacie koszt ich utrzymania wzrasta; przedsiębiorca, starając się jak najbardziej wycisnąć dochód dla własnej kieszeni, wszystko wykonywa „tanim kosztem,“ robotników opłaca licho. Roboty administracyjne przy pomocy obywateli dawniej i w okresie głodowym przyniosły dużo korzyści. Należałoby więc dobrze, jasno sformułować wniosek przekształcenia systemu na sposób gospodarki jednolitej i z tem wystąpić do sfer właściwych. Dają ku temu powód świeżo opracowane przepisy, które będą w r. b. zatwierdzone. Oto ich treść zasadnicza: Przywrócenie działalności komitetów dla dróg drugo i trzeciorzędnych. Utworzenie oddzielnych komisyj powiatowych, do których wejdą obywatele ziemscy (po 4 w każdej). Dla robocizny szarwarkowej ma być przyjęty inny system, tj. obliczanie podatku nie od gruntu, lecz od głowy tudzież od inwentarza. Podlegać zatem będą opłacie ludzie, woły, konie, wozy itd. Nadto uchwalone będą t. zw. grosze dodatkowe. Powinność w robociznie zamienić każdy może, wedle życzenia, na gotówkę. Prócz tego, nowe przepisy proponują podnieść podatek gruntowy i podymny do 20%, od patentów handlowych do 15%, zakłady przemysłowe pociągnąć do opłaty w stosunku 3 rs. od siły jednego konia. Przy zatwierdzaniu nowych kolei należy kłaść za warunek budowę dróg szosowych, dotykających do linii kolejowej i w stosunku do jej długości. Oto mniej więcej główne punkty nowego systemu.

Na posiedzeniu sekcyi podano wniosek, aby przy tej sposobności wyjednano obowiązkowy udział w komisyi drogowej dwóch przedstawicieli sekcyi rolnej, którzy byliby rzecznikami spraw ogółu. W rezultacie uchwalono stworzyć na gruzach dawnej nową delegacyę dla zbadania świeżych przepisów. Oby tylko ich nie zatwierdzono, zanim członkowie przystąpią do „badania!“ Liczne przykłady dowiodły, że władze rządowe chętnie przyjmują uwagi i sformułowane potrzeby każdej grupy społeczeństwa przed jakimbądź stanowczym krokiem reformy. Nowa delegacya powinna pamiętać o tem i mniej poświęcić czasu na „badanie,“ a więcej wlać energii w śpieszne i uzasadnione omówienie potrzeb komunikacyjnych.

Ciekawe rzuca światło na warunki teoretyczno-naukowe w naszem rolnictwie, sprawozdanie delegacyi nawozowej. Okazuje się, iż próbki do analizy trzeba posyłać za granicę, bo u nas rozbiory zbyt drogie i niezupełnie dokładne. Laboratoryum Merkera w Halli ofiarowało najprzystępniejsze warunki (1,012 rs. za 220 prób). Każdy z ziemian może za pośrednictwem sekcyi przesłać próbkę ziemi, co w masie wypadnie dość tanio (4 rs. 60 kop. od 1 litra). Braki powyższe nasunęły p. Chaniewskiemu myśl utworzenia u nas własnego laboratoryum, które odpowiadałoby istotnym potrzebom. Najwłaściwszem byłoby stosowne przekształcenie istniejącej pracowni przy Muzeum przemysłu i rolnictwa. Trzeba tylko, ażeby ziemianie, oceniając własny interes, nie pożałowali kosztów na to. Jeżeli je zechce cały ogół ponieść, nie obarczą one tak bardzo każdego z osobna.

Przed dwoma miesiącami, gdy poruszono sprawę parcelacyi, p. Dzierzbicki zobowiązał się dowieść, że większa własność ziemska nie jest w tak złem położeniu, jak powszechnie mniemają i że odznacza się ona silniejszą odpornością, niż włościańska, przyczem zapowiedział oparcie swych wniosków no faktach. Z upragnieniem oczekiwaliśmy tej chwili, ażeby usłyszeć coś nowego w tej starej, na wszystkie strony setki razy obrobionej sprawie. I oto nareszcie prelegent wystąpił z rozprawą, dwie godziny czytaną, którą opracował chyba tylko dla popisu. Długi traktat akademicki, oparty na podręcznikach Roschera, nadziany elementarnemi teoryami ekonomii i licznemi cytatami z różnych autorów, dzieł, broszur, artykułów ulotnych, krytyk literackich i t. d. i wszystko po to, ażeby w końcu powiedzieć wielką i nową prawdę, że nie ilość ziemi, lecz jej kultura stanowi o powodzeniu; że wykształcenie fachowe i zbiorowa praca może być wielce pomocna dla drobnych rolników, że podwyższenie produkcyjności pracy jest konieczne. Autor przeszedł się po całej Europie, zajrzał do włościan w Cesarstwie i odmalował byt chłopski wogóle tak czarnemi barwami, że przy nim najciemniejsze warunki większej własności są jeszcze dość jasne. Szkoda tylko, że w tej mozolnej wędrówce po świecie, z zapowiedzianych faktów, dotyczących Królestwa, znalazł zaledwie luźną garstkę niebardzo przekonywających szczegółów z gub. warszawskiej. Rozdęta do wielkich rozmiarów bańka prysła w oczach słuchaczów, a z nich niejeden może w głębi ducha zapytał: „Com ja zawinił, że mi do północy kazano słuchać tych wywodów, z których tyle wiem, ile wiedziałem o wpływie parcelacyi na ogólną gospodarkę rolną? Czy chłop mocniejszy ode mnie, czy ja od chłopa, dalipan, również powiedzieć nie umiem! Wiem tylko, że gdy kmieć na przednówku przyjdzie prosić o zasiłek z mego śpichrza lub o przyjęcie krowy na przekarmienie — to słaby; gdy zaś ja do niego przyjdę latem prosić na robotę — to mocny. Gdy nadejdzie termin raty Towarzystwa lub procentu lichwiarskiego, tom słaby; gdy zaś zboże „na pniu“ lub część lasu sprzedam — tom mocny.“ Doprawdy, nie trzeba być Cumberlandem, ażeby odgadnąć takie lub podobne myśli ziemianina, który był zmuszony wysłuchać długich traktatów i rozpraw o parcelacyi i likwidacyi.

Sprawa kredytu melioracyjnego i stworzenia osobnej instytucyi kredytowo-likwidacyjnej była dość silnem echem wniosku p. Jeziorańskiego, wypowiedzianego przed dwoma miesiącami. Projektodawca, wielki zwolennik działalności i poglądów Kalksteina, dowodzi, że interesy obu klas rolnych są wspólne i jednakie, że zatem trzeba je równomiernie uwzględniać. Tam, gdzie włościanie gromadami wielkiemi się skupili, zdala od większej własności ziemskiej, gospodarka ich jest na najniższym szczeblu, a położenie fatalne; nie mają bowiem ani źródeł zarobku, ani wzorów w gospodarstwach o wyższej kulturze. „Włościanin na 10 morgach utrzymać się nie może; powinien mieć 15, co mu da możność nietylko wyżywienia się, ale i zapełnienia czasu całkowicie. Przy małej bowiem ilości gruntów próżnuje, z krzywdą dla siebie.“ Szkoda, że ci panowie nie umieją wniknąć w istotę tego „próżniactwa.“ Szczepanowski powiada, że „chłop je za pół, a robi za ćwierć człowieka.“ Gdyby jadł za całego, produkcyjność jego pracy podwoiłaby się i potroiła. Ale nawet norma 15-morgowa „dla całkowitego zapełnienia czasu“, jako jedynie skuteczne lekarstwo, mogłaby teoretykom od parcelacyi i antiparcelacyi, niemiły zawód zrobić. P. Jez. widzi wzmocnienie żywiołu rolniczego w *średnich* gospodarstwach i w tym właśnie celu przemawia za stworzeniem nowej instytucyi kredytowej. Niewątpliwie do pewnego stopnia miałaby ona racyę bytu przy brakach w innych urządzeniach; ale ponieważ obecnie w sferach właściwych ważą się sprawy reformy Banku włościańskiego, więc należałoby poczekać do końca, a nawet kto wie, czy nie byłoby praktyczniej, zamiast nowej instytucyi pomocniczej dla Banku włościańskiego, podać zarysy rozszerzenia działalności tego ostatniego w zakresie projektowanych czynności dla instytucyi kredytowo-likwidacyjnej. Zważmy, że pierwsza rozporządza olbrzymimi kapitałami i ulgami; druga, prywatna, musiałaby najpierw zachęcić kapitalistów, a potem... wzbudzić zaufanie do swej działalności; to jest debiut zbyt uciążliwy i odstraszający. Faktem atoli jest, że pośrednictwo w nabywaniu i działkowaniu ziemi, to środek niezbędny, gdy dziś bowiem nie ma odpowiedniej instytucyi, albo rozszerzonego programu organizacyi istniejących, korzystają spekulanci („parcelnicy“), wyzyskiwacze, których lud chętnie poszukuje. Parcelacya musi istnieć, jako wynik szeregu warunków; ale w takim stanie, jak dziś, jest zgubną dla nabywców a niekorzystną dla sprzedających. Należy więc, uznawszy ją za „złe konieczne,“ skierować na właściwsze tory.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Nowe połączenie. Projekt, który budził ogólne zainteresowanie jeszcze w wieku XVIII — połączenie spławnych rzek zachodnich z krajowymi portami baltyckimi, obecnie pod wpływem układów z Niemcami znowu się odrodził. Przed kilku tygodniami inżenier M. Szystowski miał w Petersburgu odczyt o potrzebie połączenia Wisły i Niemna z portem windawskim. System komunikacyjny obu tych rzek między Nowogieorgiewskiem i wsią Niemnowem (dwoma skrajnymi punktami) wynosi 398 wiorst: 300 rzeki, reszta kanał augustowski. Ten ostatni zbudowany doskonale, posiada 18 szluz i obliczony jest na spław 25 milionów pudów w okresie żeglugi rocznej. Budowa była dość kosztowna: 8 mil. rs., ale już dawno całkowicie się opłaciła (oszczędności tylko na przewozie soli dały 125,000 rs. rocznie). Z powodu tej nowej komunikacyi, Prusy musiały zawrzeć umowę handlową z Rosyą, skutkiem czego znaczenie handlowe kanału znacznie upadło, a jego rola ograniczyła się do przewozu materyałów leśnych i produktów rolniczych. Zresztą sieć kolei, powstałych w ostatnich latach, zmniejszyła doniosłość komunikacyi wodnej. Pochodzi to wreszcie i stąd, że obie rzeki wpadają do morza w Prusach, towary zatem, idące do tamtejszych portów, spławiane są z pominięciem kanału. Roboty około doprowadzenia tego ostatniego do Windawy przerwano w r. 1831. Diś plan robót, przed kilkudziesięciu laty nakreślony, należałoby zmienić. P. S. oblicza, iż długość całego systemu wyniosłaby 1,052 wiorsty, kosztem 30 mil. rs. Według sprawozdań, przed kilku laty prowadzonych, opłaty celne za towary spławiane Wisłą i Niemnem, wynosiły 3,750,000 rs. rocznie, nadto dostawa ładunków do granicy tudzież wydatki w portach pruskich razem z powyższą sumą stanowią wogóle 5,250,000 rs. na korzyść Niemiec. Koszt przewozu wprost do Windawy (po $1/_{200}$ kop. od puda i wiorsty) wyniósłby 3,750,000 rs., czyli 5% od sumy, włożonej w budowę kanału (30 mil.). Statystyka urzędowa przedstawia pokaźnie ruch spławny: w r. 1890 przewieziono do Prus Wisłą $31\frac{1}{2}$ mil. stóp sześciennych drzewa i 3 mil. pudów materyałów spożywczych: Niemnem — 21 mil. stóp sześc. drzewa i 1,350 000 pud. materyałów spożywczych. Dla dostarczenia tak olbrzymich ładunków do Windawy należałoby, oprócz nowych robót, poczynić nieznaczne ulepszenia w kanale augustowskim. P. Szystowski zachęca rząd do tego dzieła, które zarówno dla skarbu, jak i dla kraju może przynieść nieocenione korzyści.

Cukrownictwo. Znaczne zyski zeszłorocznej kampanii tudzież spodziewane na przyszłość, wobec pomyślnych widoków dla przedsiębiorców, wpłynęły na przyrost nowych cukrowni. Między innemi powstanie fabryka w Nałęczowie, nieopodal stacyi kolejowej. Olbrzymia cukrownia w Berszadach (kraj poł. zach.) stanowiąca własność pojedynczego przemysłowca, przeszła obecnie na rzecz spółki, złożonej z wielkich kapitalistów odeskich tudzież ziemian z gub. kijowskiej i podolskiej. Na czele stowarzyszenia stoją bracia E. i W. Mańkowscy. — W ostatnich dniach König zniżył ceny swojej rafinady o 30 kop. na pudzie.

Dywidenda. Kasa pożyczkowa przemysłowców warszawskich za r. 1893 daje swoim uczestnikom 8%, Towarzystwo ubezpieczeń „Przezorność“ około 6%; Towarzystwo francuskie zakładów przemysłowych „Huta Bankowa“ w Dąbrowie — 11% dywidendy.

— P. Konst. Postaszewski, chemik-technolog (wychowaniec inst. w Rydze i politechn. w Edynburgu), wynalazł nowe świece, wyrabiane z różnych olejów mineralnych zgęszczonych. Według obliczenia wynalazcy, świece jego, zwane *luminit*, będą o 15% tańsze od najlepszych stearynowych. (*Kuryer warsz.*).

KRONIKA.

Sprostowanie. Nasz korespondent berliński, zawierzywszy doniesieniu kilku pism niemieckich, wspomniał o śmierci Roschera. Tymczasem okazuje się, że głośny ekonomista żyje i że wiadomość o jego zgonie była plotką.

Sprawy społeczne. Na mocy rozporządzenia władzy, powiaty: płoński w gub. płockiej i pułtuski — łomżyńskiej, przyłączono do gubernii warszawskiej.

— *Now. wr.* pisze, iż po załatwieniu obecnych egzaminów z języka ruskiego i polskiego w okręgu fabrycznym łódzkim, majstrowie i podmajstrowie pochodzenia niemieckiego nie otrzymają już nadal żadnych odroczeń. Ci zaś, którzy się okażą niedostatecznie przygotowanymi, będą natychmiast wydalani.

— Ministeryum skarbu opracowało plan przepisów, które zabraniają otwierania lombardów w pobliżu fabryk i zakładów przemysłowych. Osoby, zajmujące się w takich miejscach potajemną lichwą, również surowo będą ścigane.

— Senat rządzący wyjaśnił sprawę poszukiwania depozytów, roztrwonionych przez sędziów pokoju. Odpowiedzialnym za całość tych pieniędzy (w sprawach spadkowych) jest skarb. Zwracając należność poszkodowanym, rząd jednocześnie poszukuje na przestępcy i jego wspólnikach.

— Według sprawozdania, złożonego w parlamencie niemieckim, liczba wychodźców w roku ubiegłym zmniejszyła się o 100,000. Zastój w emigracyi sprawozdawca tłomaczy złym stanem ekonomicznym ludności, poniekąd cholerą i zamknięciem granicy z powodów zdrowotnych, dla wychodźców ruskich. Emigrantów niemieckich było ogółem 70,362, z tej liczby tylko 9,8% robotników rolnych, 30% rzemieślników, robotników fabrycznych itd.; reszta — bez określonego fachu. Przewóz r. z. był w lepszych warunkach, niż po-

przednio. Pasażerowie na statkach Lloyda, idących do Ameryki północnej, mieli sale stołowe; nadto, prócz pożywienia regulaminem wyznaczonego, podróżnym emigrantom dawano na śniadania i kolacye zimne mięso, kiełbasę lub ciepłą strawę. Tak wyglądają warunki emigracyjne według sprawozdania.

Szkoły. Na zjeździe hydrotechników w Petersburgu postanowiono poczynić starania o otwarcie w Kazaniu szkoły żeglarskiej dla kapitanów i sterników żeglugi rzecznej.

— Na budowę pensyonatu dla studentów Instytutu inżenierów komunikacyi w Petersburgu wpłynęło z ofiar rs. 270,000, przeważnie od towarzystw kolejowych.

— Uczniowie szkół średnich, którzy wykażą celujące postępy w nauce języka francuskiego, przy wstąpieniu do wyższych zakładów naukowych otrzymają stypendya w sumie rs. 600 rocznie, o ile zapiszą się na wydział filologiczny i obiorą język francuski, jako specyalny przedmiot swych studyów. Po ukończeniu nauk, kandydatom tym powierzane będą posady nauczycieli w gimnazyach klasycznych (okólnik ministeryalny).

Zdrowie publiczne. Według sprawozdań urzędowych, 10 b. m. do szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie przybyło 8-miu chorych na cholerę, wyzdrowiało 3, pozostało 5. W osadzie Góra Kalwarya epidemia powyższa również panuje.

— W Konstantynopolu cholera szerzy się gwałtownie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Jerzemu G. Trzebaby przejrzeć wszystkie czasopisma współczesne ukazaniu się tego dzieła, tj. dokonać pracy, której my w żaden sposób podjąć dla Pana nie możemy.

Mar. O. Nie jest to poezya, lecz rymowanie i to nie zawsze prawidłowe w rytmie.

Prenumeratorowi. Jaka jest stacya pocztowa szkoły mleczarskiej w Podhajach, nie wiemy, gdyż wiadomość zaczerpnęliśmy z gazet, w których ten szczegół pominięto.

Panu Janowi D. w K. Ani tego dzieła, ani tego kalendarza nie mamy i musielibyśmy oba nabyć. Najlepiej więc będzie, gdy Pan znalazłszy chwilkę czasu, zrobi notatkę owych „bezeceństw naukowych“ i przyśle ją nam.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 4 Февраля 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.